

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Patentowanie obywateli. — Z Austrii p. S. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Z Warty. — *Życie społeczne:* O wystawie paryskiej ze-stanowiska inżynierii i przemysłu I. p. A. Pawłowskiego. — *Listy z nad Bałtyku* p. R. — *Sprawy ekonomiczne:* Nowoczesny prąd monopolowy p. K. R. Żywickiego. — *Badania naukowe:* Historia. Historia powstania nowoczesnego państwa niemieckiego p. L. — Etnografia. Józef Rostański, Szkice ze świata i przyrody, Serya II. Z Algierii. — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — O prawdę, p. Edwarda Bogusławskiego, Antoniego Gustawa Bema, Czesława Jankowskiego i P. P. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

PATENTOWANIE OBYWATELI.

Badaczom etyki rozwojowej znany jest przez całe życie rodu ludzkiego w rozmaitych stopniach objawiający się fakt moralności, zakreślonej pewnym promieniem związków i stosunków i nieobowiązującej po za ich obrębem. Barbarzyńca, który kradzież lub morderstwo wśród własnej osady, grupy, plemienia, uważa za zbrodnię, też same czyny, popełnione zewnątrz swej społeczności, poczytuje za obojętne moralnie lub chwalebne. Bez skrupułu i najłżejszych wyrzutów sumienia obrabuje lub zje „obcego“, ograniczając szacunek życia i mienia tylko do „swoich.“ Ta względność uczuć i reguł moralnych, która z taką jaskrawością występuje na niższych szczeblach kultury, istnieje również, złagodzona i szlachetnymi pozorami przykryta, na najwyższych. Europejczyk cywilizowany inaczej zachowuje się względem członków swojej rodziny lub swego narodu, niż względem cudzoziemców; gdyby przypadkiem zabił sąsiada, nie pozbyłby się nigdy zgryzot wewnętrznych, ale bez długiego namysłu zastrzeli w Afryce murzyna przy najmniejszym starciu.

Przez świat cywilizowany przelatują od czasu do czasu prądy, które ożywiają drzemające w nim i zamierające instynkty stada, roju i gniazda, podniecając przeciw sobie nie tylko narody, ale w tych narodach pojedyncze warstwy i żywioły. Wtedy występuje z całą siłą a często i nagością owa etyka pierwotna, która zna sprawiedliwość i miłosierdzie tylko dla „swoich“, a obojętność lub okrucieństwo dla „obcych.“ Takie widowisko przedstawia nam obecnie antysemityzm. Po wojnie francusko-pruskiej, po rozbudzeniu się żądz barbarzyństwa, wytrysnął obfitym strumieniem w Niemczech prąd nienawiści i zagłady, który wy-

lał się kilkoma łożyskami, to jako *polenhetze*, to jako *kulturkampf*, to jako *judenhetze*. Ostatni z tych potoków płynie dotąd bystrym nurtem i wbiegł na naszą niwę. Przed laty 25, kiedy jeszcze mieliśmy bardzo niewielu świątliwych i prawych obywateli pochodzenia semickiego, wycelowywaliśmy w braterskich uściskach bródy żydowskie; potem żyliśmy z nimi w obojętnej zgodzie; następnie z zadowoleniem i pobłażaniem przysłuchiwalismy się wyprawianej im przez garść łobuzów dziennikarskich kociej muzyce; a dziś, kiedy ogromny ich procent zasymilował się z najlepszymi pierwiastkami społeczeństwa i kiedy nie wolno nam jego sił marnować, otworzyliśmy upusty antysemityzmowi — bawimy się w politykę somalów i choktów, albo raczej dawnych meksykańów, którzy tuczyli przez czas pewien jeńców, ażeby tłustych zarznąć na ofiarę rodzinnym bogom. Jeszcze więcej jest w tej polityce nierozumu i lekkomyślności, niż złej woli, ale chociaż nabroila ona dużo złego, nie mamy zamiaru w tej chwili sumować wszystkich jej skutków. Chcemy tylko podkreślić jeden najświeższy jej moment.

Nie przeczyliśmy nigdy i nie przeczymy obecnie, że ogromna, ciemna, w znacznej mierze pasorzytnicza masa naszego żydostwa wytwarza „kwestyę“, którą ciągle podejmować i według możności rozwiązywać trzeba. Jest to także sama kwestya, jak sprawa kultury naszego ludu — również masy ciemnej, wyodrębnionej, od klas ukształconych daleko odsuniętej i — jak chcą niektórzy — posiadającej swoją odmienną „duszę“ i odrębną „cywilizację.“ Myśleć nad temi kwestyami, ujawniać wynikające z nich szkody i wskazywać środki zaradcze jest obowiązkiem każdego, kto swe serce i umysł zaprzęta kłopotami ogółu. Żyd wyzyskuje i niszczy dobrobyt, chłop podpala, kradnie i zabija — obaj są sprawcami klęsk, które wymagają ciągłej baczności i starań zapobiegawczych. Ale kto nie stanowi dla nas żadnej „kwestyi“, to inteligencja — żydowska, o ile językiem, du-

chem, obyczajami i przekonaniami upodobniła się zupełnie w kraju do równorzędnych żywiołów odmiennego pochodzenia. I oto nad nią właśnie odbył się niedawno w paru pismach niedorzeczny sąd, który ją pozbawił praw obywatelstwa. Wyznajemy otwarcie, że te gorszące wyroki przejęły nas wstrętem i zgrozą. Trzeba istotnie wielkiego zmaczenia się w społeczeństwie rozumu, wielkiego rozzuchwalenia się jednostkowych kaprysów i swawoli, ażeby ktokolwiek śmiał i przyznawał sobie prawo zaliczania i wyłączenia ludzi ze społeczeństwa, do którego oni należą i chcą należeć. Jakiegokolwiek są przedmiotowe cechy pewnej narodowości, niewątpliwie stanowi o niej również przedmiotowe przekonanie każdego osobnika. Chociażbyśmy w kimś odnaleźli wszystkie znamiona francuza, jeśli on sam się uważa za Niemca lub Anglika, francuzem nie jest. Toż samo w wypadku odwrotnym. Tymczasem co widzimy? Ci sami publicyści, którzy gotowi są z kilku wyrazów polskich, płaczących się w angielskiej mowie amerykańskiej, spleść węzeł łączący go ze społeczeństwem polskim, którzy odskrobują i odkopują rodaków na Kubie, Teneryfie, Antylach, którzy rozdmuchują najdrobniejszą isierkę wspomnień narodowych w wynaturzonym emigrancie, gaszą to poczucie na miejscu w ludziach, w których ono płynie żywym ogniem. Tego rodzaju taktyka jest wprost bezmyślna, o ile zaś wywołuje wrzenie, sieje zarazę moralną, wznieca nienawiść między dziećmi jednej ziemi, apostołuje przesładowanie, przecina spójnię i osłabia zbiorową energię społeczeństwa — jest szkodnictwem. Zaiste trudno wyobrazić sobie większe rozpasanie publicznego słowa, nad wybryki pychy pierwszego lepszego rowizora patentów narodowych, który dla tego, że może swego dziada albo tylko ojca przyczepić do gromady aryjskiej, czuje się powołanym i upoważnionym do rozstrzygania, czy setki i tysiące obywateli kraju posiadają dostatecznie uzasadniony tytuł obywatelstwa, czy też nie. Usuwamy na bok zuchwalców, lecz

nawet wśród największych rozumem i charakterem nie widzimy i nie uznajemy nikogo, kto by miał takie prawo, bo go niemażaden jednostkowy lub zbiorowy trybunał.

Wszystkie więc tego rodzaju sądy i wyroki uważamy za śmieszny fanfaronadę albo za warcholstwo bardzo niskiego poziomu, któremu przeciwdziałać należy w interesie błakanego i durzonego ogółu. W tym też jedynie celu zabraliśmy głos bez najdalszego zamiaru nawracania przysięgłych antysemityzmu. Chodzi nam wyłącznie o to, ażeby społeczeństwo nie topiło swego rozsądku w odmęcie bredni i wskrzeszanych barbarzyństw moralności, oraz ażeby pokrzywdzeni napasciami nie przypuszczali, że w jakimś zdziechałym społeczeństwie żyją, zwłaszcza że nasze może i powinno być zarówno ucywilizowanem, jak ostrożnem w podsycaniu walk wewnętrznych, które je wycieńczają.

Z AUSTRYI.

Obrady parlamentu wiedeńskiego. — Sprawozdanie budżetowe Dunajewskiego. — Interpelacja Plenera i odpowiedź rządu w sprawie koronacji czeskiej. — Nedza ludności wiejskiej w Galicyi i wniosek, któremi Koło polskie Galicyę ratuje.

Parlament wiedeński, zwołany na parę dni niemal przed rozpoczęciem czasów świątecznych, zajmował się głównie zakulisowem porozumiewaniem się stronnictw z rządem. Wynikiem tych układów, których przebieg chwilami groźny był dla polityki hr. Taaffe, jest pozostawienie wszystkich spraw wewnętrznych w stanie poprzednim. Z tego, co w krótkim tym okresie odbywało się jawnie na trybunie parlamentarnej, warto uwagi tylko sprawozdanie budżetowe ministra Dunajewskiego i decyzja rządu w sprawie koronacji czeskiej. Wezwanie Dunajewskiego, by posłowie wzajemnie powinnowali sobie zwyczaj, oszczędzonej w ubiegłym roku, przyjęto ironicznie, zarzucając, iż po podatku wódeczonym i cukrowym, po podwyższeniu cen tytoniu, kawy i nafty, po reformie cel i podatku budowlanego, słowem po podniesieniu sumy podatkowej o pięćdziesiąt milio-

nów, płon uzyskany jest drobnym. Sprawozdanie Dunajewskiego było zresztą nacechowane owym sposobem traktowania rzeczy, który Wekerle trafnie nazwał kokieterią finansową, a który polega na tem, że się karabiny Mannlichera zalicza do wydatków produktywnych, stawiając je w jednym rzędzie z budową portu tryesteńskiego. To, co Dunajewski mówi o finansach austriackich w parlamencie, nie daje wprawdzie wiernego ich obrazu; pewnem jest atoli — chociaż w gruncie rzeczy po za ową sfabrykowaną zwykłą kryje się deficyt niemały — że minister ten finanse Austrii poprawił i że stale stan ich ulepsza.

Do rozpraw nad budżetem przyręcił Plener interpelację, jakie rząd zająć myśli stanowisko wobec prawnoparastwowych roszczeń czeskich i wobec zaostrej w walki między szczepami zamieszkującymi Czechy. Z upragnieniem oczekiwała opozycja odpowiedzi. W zamku cesarskim odbywała się narada ministrów pod przewodnictwem cesarza, a wynik jej ogłosił hr. Taaffe wśród głębokiego milczenia parlamentu. Była to odpowiedź, której zredagowanie nie mało trudu kosztować musiało, omija ona bowiem zupełnie zasadniczą stronę rzeczy. Podczas gdy w przeddzień jeszcze organy urzędowe donosiły, że rozstrzygnięcie sprawy koronacji należy do prerogatyw korony, tak iż rząd kwestyi wyjaśnić nie może, rzekł hr. Taaffe, że dziś interes państwa wymaga przedewszystkiem spokojnego rozwoju stosunków na podstawie konstytucyi istniejącej i że rząd nie zamysła na razie proponować cesarzowi zmian zasadniczych i koronacji. Na drugą część pytań Plenera odpowiedział hr. Taaffe nie mniej gładkim frazesem: że rząd uwzględnić będzie uzasadnione pretensje Niemców zupełnie w tej samej mierze, co Czechów. Istotnie dziwi się czasem trzeba, dlaczego ludzie poważni bawią się jeszcze w urzędową tę komedię pustych pytań i pustych odpowiedzi, które z faktycznym tokiem spraw nie mają wspólnego.

Niezwykłą cechą miały obrady ostatniego posiedzenia Koła polskiego. W tem gronie, myślącem zazwyczaj o sposobach zmniejszania swych prośb zanoszonych do rządu, odezwał się zany poseł Hompesch ze stanowczem żądaniem energicznej pomocy wobec strasznego niedostatku, jaki nawiedził ludność wiejską w Galicyi, dotkniętej nieurodzajem. Wobec profesorskiego optymizmu budżetowego p. Bobrzyńskiego w sejmie galicyjskim, na jakąż sympatyę

zasługuje ten pocziwy niemiec, niedobrze jeszcze władający językiem polskim, a tak gorąco i praktycznie już broniący interesów wieśniaków galicyjskich. Według posła Hompescha, nedza w Galicyi obecnie jest tak wielką, że dla braku paszy w całym niemal kraju odbywa się rzeźniactwo za bezcen wyprzedza inwentarza żywego i mordowanie bydła na skórę. Proponuje więc, by żądano zasiłku dla spółek melioracyjnych, udzielania im pożyczek bezprocentowych, dostarczania zboża na zasiew wiosenny gospodarzom drobnym z zasobów państwa. Saliny Kałuskie dostarczyć winny po przystępnych cenach soli potażowych dla zaradzenia przyszłemu brakowi nawozu. Nadto należy rząd nakłonić do wybudowania uznanych za potrzebne dróg żelaznych, przechodzących przez powiaty nieurodzajem dotknięte. Hompesch wezwał Koło polskie, by zajęło się przedewszystkiem tym ratunkiem. Poseł Chrzanowski wniósł, aby ministerstwo austriackie wykonało te przynajmniej drogi żelazne, których wspólne ministerstwo wojny domaga się ze względów strategicznych, a które po większej części dotyczą właśnie powiatów zubożonych tak nagle. Władysław Czajkowski i włościanin Orzechowski proponowali w szeregu wniosków, by rząd wstrzymał egzekwowanie podatku gruntowego, jeżeli umorzenie go jest niemożliwem.

Czy dobra wola i energia tych posłów udzieli się przewodniczącemu Koła, któremu polecono przedsięwzięcie kroków odpowiednich? Wątpimy bardzo, bo po całej tej dyskusyi, która okazała, że nagłość pomocy jest niezbędna, p. Jaworski z prawdziwie parlamentarną flegmą zażądał, by wnioski powyższe przekazano przedewszystkiem do roztrząśnienia polskim członkom komisji budżetowej.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bywają takie tygodnie, że trzeba siebie pytać, czy Europa wszystkie już swoje własne sprawy załatwiła i myśli tylko o wynikających po za jej kresami? Takimi były dwa tygodnie ubiegłe. Naprzód major Wissman, urządzający czarnych w obrębie zajętym przez Niemcy, doniósł, że schwycił Buszirego, jednego z handlarzy i okrutni-

Z WARTY.

Jan odbywał straż dzienną przed koszarami. Chodził tam i napowrót z karabinem w rękę, spoglądając co chwila w górę na niebo, zaciągnięte od zachodu chmurami szaro stalowego koloru, od wschodu zaś jasne, perłowo słoneczne.

Powietrze było spokojne: zdawało się coś grozić...

Jan wdychał głęboko, niepewny... Wreszcie przestał chodzić: stanął przed budką. Ptaki tuliły się do gałęzi drzew, strwożone, drżące, przeczuwając coś złego.

Naraz słup piasku, podniesiony na wysokość kilku stóp, zawirował w blizkości. Nagły, szalony, gwałtowny pęd wichru wzburzył olowiane płaty chmur, nieruchomo rozpiętych od zachodu, porożywał je na strzępiaste, nierówne szmaty i chaotycznym szeregiem pognał ku wschodowi.

Na prawo od budki, o pół ćwierci wiorsty drogi, po sypkim piasku z po za krzewów łożyny, wierzb i topoli, migał staw długi a wązki, obłożony po brzegach tatarakiem, rzęsa i białemi, wodnymi liliami.

Wiatr zmałował. Wierzchołki drzew, pochylonych nad nią, gięły się w kierunku

powietrznego pędu: część gałęzi odpadała z łoskotem, przyginiatając tatarak i rozrywając rzęse.

Po obu stronach stawu zieleniały wilgotne łąki. Jedną z nich przecinał rów, zarosnięty gestem, wybujałemi, kwitnącemi trawami i krzakami.

Kilka minut ważyło się coś w powietrznej przestrzeni: słychać było w oddali łoskot, zbliżający się szybko...

Bydło, skubiące trawę na łąkach, wystraszone, z rykiem zbiegło pod gałęzie wierzb nad rowem i skryło się pod niemi, wężąc niespokojnie...

Zaczerniało naokół: o dwa kroki nie można było nie dojrzeć. Niebo całe okryło się jednolitym, ciemno szarym płatem, z po za którego nie przeglądał żaden jasny punkt.

Łoskot rozbrzmiał w całej pełni. Huczało, jęczało, wyło w powietrzu...

Kula gradowa wielkości orzecha obila się z silnym stukiem o budkę, w której stał Jan z karabinem w rękę.

W sekundę miliony lodowatych bryłek zaczęły spadać ukośnie, łamiąc gałęzie drzew, uderzając o gontowe dachówki chałup, rozrzuconych po drodze do miasteczka i o czerwone, murowane ściany koszar.

Woda w stawie zapiętrzyła się balwanami: podrywały ją gwałtowne fale wichru, gnąc tatarak i trzeinę, zbijając rzęse na

brzegu w jedną gęstą masę, którą rozrywały chwilami wsteczne rzuty wody.

Ludzie patrzyli z okien na jednolite, ukośne smugi, łączące niebo z ziemią. Przechodnie poskrywali się w sieniach chałup. Wozy z końmi postawały na drodze pod płotami chłopskich zagrod. Szarawa ciemność zaległa bliższe i dalsze krańce widnokręgu...

Szyby wypadały tu i owdzie z łoskotem.

Po kwadransie huragan przeszedł. Ciepłe, przesycone elektrycznością powietrze orzeźwiło się i oziębiło: można było oddychać swobodnie bez tej zmory, jaką rzuca na piersi duszący skwar przed burzą.

Perłowy blask od wschodu przeszedł w łagodne żółtawe światło, rozlewające się coraz szerszymi kęgami, które ogarnęły w końcu całą połowę firmamentu.

Gradowa chmura pomknęła dalej. Ciemne, oddalające się miarowo od zachodu ku wschodowi smugi oznaczały pas szalejącego tam orkanu.

Nad stawem i otaczającymi go drzewami, nad łąką piasku i dwiema łąkami, nad chłopskimi chałupami i czerwonymi murami koszar rozlał się ciepły, pojednawczy blask pogody.

Bydło, skulone, wychodziło powoli z pod gałęzi wierzb. Ludzie stawali przed progami d m mostw.

ków arabskich, którzy znowu po swojemu urządzają białych, i kazał go powiesić. Rozległ się w całej prasie niemieckiej oklask; ale gdy męzny major doniósł, że wieś dalej innych szkodników, uznano, że swą misję cywilizacyjną spełnia zbyt gorliwie i zapewne polecono mu, ażeby przynajmniej od czasu do czasu przypominał sobie szerszenie w Afryce „bojaźni bożej i dobrych obyczajów“, których, jak wiadomo, Prusy mają nadmiar i mogą je eksportować.

Dr. Peters, naczelnik drugiej wyprawy niemieckiej, który już kilkakrotnie umierał pod strzałami murzynów i przywracany był do życia, znowu zmartwychwstał i — jak świeża wieść głosi — wędruje gdzieś we wnętrze Afryki. Jeżeli ten awanturnik rzeczywiście nie zginął, można być pewnym, że długo zajmować będzie Europę, bo tacy ludzie przewidywaniem umieją około siebie robić wrzawę.

Z powodu Afryki wynikł ostry a dotąd niezłagodzony jeszcze spór między Anglią i Portugalią. Trzeba posiadać cienkość linii lub nikłość mary, ażeby gdziekolwiek w koloniach europejskich nie zetrzeć się ze „sferą interesów angielskich.“ Nie więc dziwnego, że wysłannik portugalski Serpa Pinto drasnął tę sferę w Afryce. John Bull wbrew zwyczajowi zaczął gniewnie krzyżować, grozić bombardowaniem Lisbony, uruchomieniem swej floty, a nawet podobno kazał zrobić groźną minę okrętom stojącym w Gibraltarze. Portugalia zażądała od swego winowajcy objaśnień, a od rządu angielskiego zwłoki w odpowiedzi na jego żądania. Z tej żyły krew się nie poleje, ale tymczasem się burzy i... wpuszcza w spragnione nowin usta dziennikarzy krople ożywczej rosy.

Od zdrzemnięcia się ratują Europę Niemcy i czesi, którzy podjęli układy o zgodę. Jedna strona wydelegowała najlepszych swoich gębaczów, druga — przewodników starych (młodociesi zostali wyłączeni) a po nad tem koncylium unosić się będzie duch św. w postaci hr. Taaffego.

Prasa niemiecka przez święta zajmowała się prawie wyłącznie „pekaniem kartelu“ — ugody konserwatystów z narodowo-liberałami, którzy się serdecznie nienawidzą, a muszą podczas wyborów iść równym krokiem według komendy Bismarka. Jakkolwiek wola ta silnie ich spaja, co chwila jednak odwracają się od siebie ze wstrętem i złorzeczeniami. Wtedy „kartel pęka“, ale ponieważ wybory do sejmu niemieckiego

odbędą się dopiero za parę miesięcy, przeto narodowo-liberalni mają jeszcze dość czasu dla przygotowania się „do patryotycznego skoku przez kij rządowy“ — jak mówi jedna z gazet niemieckich.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

O WYSTAWIE PARYSKIEJ

ze stanowiska inżynierii i przemysłu.

I.

Zadaniem inżyniera cywilnego jest zamieniać i zastoso- wywać wielkie źródła siły istniejące w przyrodzie do użytku i potrzeb człowieka. Tak określony został pierwotnie przez anglików zakres sztuki inżynierskiej i takim go widzimy w tysiącnych formach, mnożących się z każdym dniem w ciągu całego bieżącego stulecia. Inżynieria cywilna, poprzedzona wojenną i marynarską, jako zawód odrębny, wyłoniła się dopiero na początku bieżącego stulecia, pomimo że hydrauliczne prace francuzów i holendrów, kanały i drogi anglików już w przeszłym wieku doszły do bardzo wysokiego stopnia doskonałości. Obecnie postęp inżynierii wszelkich gałęzi odbywa się tak w przyspieszonym tempie, że technik niema prawa twierdzić, iż ten lub ów dzisiaj nieziszczony i ledwo w fantazji poczęty pomysł ulepszeń czy wynalazków jest niewykonalny w zasadzie. Uzbrojony wiedzą, przestał suszyć sobie głowę wynajdywaniem za *perpetuum mobile*, a za to prędzej i łatwiej dosięga celów bliższych niezmiernie doniosłości. Jako wyraz praktycznego i najpożyteczniejszego zarazem postawienia kwestyi służy hasło, które każdemu zachynającemu inżynierowi długo wdrażać potrzeba: posługiwać się o ile możności tymi materjami i środkami, które są pod ręką, nie goniąc, bez koniecznej potrzeby, za dalszymi i trudniejszymi do zdobycia. Technika i ekonomika podały sobie w osobie inżyniera ręce i sojusz między temi dwoma gałęziami wiedzy nie jest czężą przechwałką. Dwa bardzo szerokie objawy społeczne, zdawałoby się, przeczą temu twierdzeniu. Z jednej strony widzimy ulepszenia w środkach *niszczenia*, które, pomijając czasowe prądy militarizmu, są

w gruncie rzeczy ulepszeniami środków *obrony*; z drugiej strony wojna papierowa wypowiedziana „maszyną“, jako narzędziu społecznego rozstroju. Zwłaszcza ten drugi objaw, doprowadzony w dziełach ekonomistów do wyżyn skończonej teorii, porusza głęboko umysł i wzbudza obawy o losy całej warstwy społecznej — stanu czwartego. Dla inżyniera wszakże, który wie, czym jest „maszyna“ i zna ów stan bliżej, ciągle z nim obcuje, sprawa ta ma bezwątpienia mniej czarny wygląd, niż dla ekonomisty. Inżynier wie, że źle jest, gdy przemysł europejski wyszukuje barbarzyńców; wie, jak trudno robotnikowi stać się właścicielem fabryki; wie o niepewności bytu i krążeniu robotnika bez pracy po rynkach zbytu jej — o przeładowaniu tych rynków towarami; lecz, z drugiej strony, wie też, ile dobrodziejstw dla całej ludzkości, a w tej liczbie i dla warstwy robotniczej, ta „maszyna“ przynosi. Miała ona obrońców w gronie ekonomistów, inżynier więc może nie powoływać się na znane motywy i poprzestać na twierdzeniu, że „maszyna“ jest właśnie owym narzędziem, za pomocą którego, wielkie źródła siły, istniejące w przyrodzie, zastosowane być mogą do użytku i potrzeb człowieka.

Prawdopodobnie człowiek pierwotny, który miał łopatę, był równie przedmiotem zawisłości tych, co jej nie posiadali, jak dzisiaj właściciel fabryki. Ludzkość cała wszelako, której genialne wynalazki pozwalają szybko się komunikować i unikać głodu, szerryć coraz śpieszniej oświatę, zyskiwać coraz wyższy stopień wygody — ludzkość na „maszynę“, oszczędzającą jej czas i pracę, skarżyć się nie może. Doktryna przeciwna osiąga polepszenie bytu upośledzonych warstw, i w tem leży jej zasługa, lecz w gruncie rzeczy sprzeciwia się zasadzie postępu.

To wyznanie wiary współczesnego inżyniera musiało stanąć w myśli niejednemu ze zwiędających wystawę paryską. Przewaga w niej dzieł technicznych tak była stanowcza, że wszelkie wysiłki administracyi ku urozmaiceniu jej za pomocą zbiorów etnograficznych żywych, za pomocą ciał kobiet, dzieł sztuki, zbytków natury — nie zatarły jej zasadniczego charakteru. Było to wielkie muzeum przemysłu i techniki z dodatkiem muzeum sztuki. Widziano ostatni wyraz budownictwa, ilustrowany szeregiem budowli historycznych, przedstawiających rozwój architektury. Etnograficzne wystawy różnych ludów miały za

Powoli — wszyscy wracali do swoich zajęć. Przechodnie, zatrzymani w drodze przez nawalnicę, biegli dalej. Wozy ruszały z miejsca.

W pół godziny potem — tylko łąki i mokre pola, powyrywane tu i owdzie gonty dachów, powybijane szyby okien przypominały burzę.

Jan zrzucił z siebie płaszcz gumowy, którym się osłonił przed falami gradu i z karabinem na ramieniu, miarowym krokiem znów zaczął chodzić tam i napowrót.

W koszarach było pusto. Żołnierze nie wrócili jeszcze z musztry. Chłopi powyjeżdżali z pługami na pola. Z łąk dolatywały nawoływania pastuchów, spędzających bydło w oddzielne gromady. Ptaki, głośno szczebiocząc, sfruwały z gałęzi drzew, na których się poprzyczajały. Zresztą — spokojnie było, jak przed burzą, tylko jaśniej, zwawiej, weselej...

Jan spoglądał na łąki, na których majaczyły jakby szron: resztki niestopniałego jeszcze gradu. Spoglądał na niebo, rozpogodzone, uśmiechnięte, zwiastujące ciszę do końca dnia.

Było mu dziwnie na sercu: niby się cieszył pogodą, a coś mu brakowało, czy bał się czegoś. Myślał sobie, że jeszcze jakieś złe wisi w powietrzu.

Przeżegnał się i mówił Ojcie nasz, Zdro-

waś Marya, Wierzę w Boga i litanię do Pana Jezusa...

Skończywszy pacierze, znowu zaczął się rozglądać po niebie i po mokrej ziemi.

Myślał sobie, co by robił, żeby był na swobodzie i w domu — nie tutaj. Pytał sam siebie, czy i u niego — w domu — grad padał? Czy mu gontów na dachu i okien w chałupie nie powybił, czy żyta nie potłukł?

Myślał sobie, jakby to on poszedł z pługiem, gdyby teraz był u siebie na zagrodzie; jakby ziemia pachniała po deszczu, jakby się ładnie rozsypywała przy oraniu, jakby sładnie ziarno później na niej wzrosło. Myślał o matce, czy dobrze gospodarzy i daje sobie radę sama we wszystkim? Myślał o Jagusi, z którą był po zrękowinach; o tem, jak się zagospodarują po ożenku, jak postawią sobie nową chałupę i dokupią gruntu za trzysta papierków, które Jagna dostanie na wiano od stryjków.

Chciało mu się podskoczyć i zaśpiewać z radości, a tu trzeba chodzić i chodzić równo, albo też stać w miejscu spokojnie, gdyż inaczej — ciężka kara!

Strasznie go dziś nudziła straż przed koszarami, tak, jak jeszcze nigdy. Kilka godzin upłynęło zaledwie od chwili, jak był na warcie, a zdawało mu się, że już chyba trzy razy słońce skryło się i wstało, odkąd tu przyszedł.

Czy go już nie zmienia dzisiaj?

Zegar w koszarach wydzwonił piątą godzinę. Jan przeliczył sobie na palcach, ile ma jeszcze czekać. Westchnął ciężko.

Strach, jak mu się dłużyło!

Czy go co urzekło?

Nieraz przestał cały czas w miejscu, nie wiedząc nawet o tem, zdziwiony, gdy już przychodziła zmiana. Dziś — ciągle jej wyglądał, zniecierpliwiony, niespokojny.

Przed burzą myślał, że go tak oni na deszcz i na grzmoty. Mówił sobie: „jak burza minie, to i ode mnie złe odstąpi...“ Tymczasem — gdzie tam! Dłużyło mu się i dłużyło teraz, jak i przed godziną!

W rozmaite punkty wzrok zwracał. Patrzył to na puste koszary, to na drogę, prowadzącą do miasteczka, to na staw zmacony i kołyszący się nad nim gałęzie drzew, to na łąki i bydło, skubiące trawę daleko, prawie na granicy zoranego pola.

Nie go nie mogło rozerwać. Przekładał karabin z ramienia na ramię i chodził wciąż przed budką i murami koszar.

W końcu — zamyslił się głęboko. Gdyby go ktoś rozbudził w tej chwili, nie byłby umiał powiedzieć, co mu krążyło po głowie.

Patrzył ciągle przed siebie, ale nic nie widział.

Nikt nie przechodził ani koło niego, ani w bok, przez drogę. Żaden głos silniejszy nie dolatywał tak z bliskości, jak i z odda-

główny przedmiot płody surowe, lub obrobione swych krajów. Koleje, marynarka, wojna, balony, posiadały również rodowód w postaci dawnych środków przewozowych obok najnowszych wynalazków. Wreszcie różne gałęzie pracy fabrycznej, rękodzielniczej i rzemieślniczej upostaciowały się w płodach najnowszych i dawnych zabytkach. Wystawa ostatnia przewyższyła o wiele pod względem mnogości i doniosłości wynalazków poprzednią z r. 1878. Takie wrażenie, poparte zestawieniem książkowym, wynieśliśmy z własnego obejrzenia obu.

Dla inżyniera było to żniwo wiedzy tak obfite, że niejeden z nas, wydawszy ostatni grosz na wyjazd do Paryża, po powrocie miał nieprzepartą żądzę jechać powtórnie i — uczyć się. Nie pojmował, jak można lekceważyć to wielkie święto wiedzy technicznej, od którego wielu, nieznających języka i przygnębionych ruchem tego ludzkiego mrowiska, uciekało. Znamy takich. W istocie, znalazłszy się tam, trzeba było panować nad czasem i na wodzy trzymać uwagę, żeby mózg z pożytkiem w obranym zakresie pracować. „Wszystkie narody i ludy wysłały tam swoich synów, którzy wyrażali zachwyt na widok tych wspaniałych dzieł pracy ludzkiej, a białorusin ze swoim przeklętym przemysłem, ujrawszy je, wołał „w zachwyceniu zostałem się od tego, to rozkosz co takiego.“

Na ten rozkwit wspaniały techniki Zachodu złożyły się tysiączne okoliczności, które tylko wymienić w głównych rysach możemy. Zaczniemy od urządzeń społecznych, które dają szerokie pole inicjatywy, a z drugiej strony, obok swobody, zapewniają poszanowanie własności. To ostatnie zresztą przeszło już w krew i kości jednostki, więc mniej zasług w tym względzie przypisać należy instytucjom, niż wyrobieniu się społecznemu — mniej środkom, niż ludziom. Uszanowanie praw własności i wogóle praw cudzych jest niezbędnym warunkiem rozwoju przemysłu. Dlatego to nie można odmówić słuszości ustawom nader surowym, jakimi rząd krajów nieucywilizowanych przesładowuje grabieżę. Paryż sam mniej daje pola do spostrzeżeń dodatnich, niż prowincya, a zdaje się, że francuz mniej od Niemca. Widzieć w Niemczech złożone pod otwartym niebem, zamiast pod kluczem, drobne części zapasów kolejowych jest rzeczą zwykłą. Całe lata spoczywają one nietknięte. Za poszanowaniem praw idzie zamilowa-

nie porządku, bez którego przemysł wielki jest niemożliwy.

Uczciwość w handlu, poszanowanie praw cudzych, porządek — na podwalinie takich tylko pojęć, wkorzenionych w umyśle każdego obywatela, mógł się rozwinąć olbrzymi przemysł, którego kwiatem była wystawa.

Drugim rysem ogólnym a znamionnym jest pracowitość ludności wogóle, a zwłaszcza tej, która z pracy żyje. Za daleko zaprowadziłoby nas przytaczanie jej wzorów, na każdym kroku spotykanych w Paryżu. Wytwórczość robotnika fabrycznego lub rzemieślnika, wysoki stopień uzdolnienia i specjalizacya jest dalszym ciągiem owej zalety, którą walka o byt w społeczeństwie zachodnim wyrobiła. Na to się wieki złożyły, więc próżno byśmy marzyli o *naśladowaniu* tych właściwości na naszym gruncie. One to wszakże dają cudzoziemcowi przewagę w naszym przemysle. Jeżeli zestawimy ilość pracy robotnika zachodniego z tym niskim procentem, jaki dają mu kapitały, to musimy przyjść do przekonania, że nasze przedsiębiorstwo i nasz robotnik nie mógłby istnieć na zachodzie Europy.

Za trzeci rys znamionny, który zaraz po wyrobieniu się i biegłości zachodniego robotnika umieścić należy, uważamy wysoki poziom wiedzy technicznej i w parze z nim idącą przedsiębiorczość. Niezrównaną w tym względzie ilustracyę przemysłu zachodniego stanowi wieża Eiffla. Obok techniki, która, idąc krok za krokiem, zdobyła się na takie doskonałe procesy, jak te, którym zawdzięcza swój byt ta budowla; obok, mówiąc, technicznej idei wieży, która nie jest żadnym genialnym wynalazkiem, lecz dalszym ciągiem dzieł podobnych poprzednich — mamy do podziwiania w wieży ideę ekonomiczną. Ta ostatnia będzie łatwo zrozumiała, jeżeli uprzytomnimy sposób powstawania *u nas* przedsiębiorstw. Śmiało możemy powiedzieć, że u nas nikt nigdy nie szuka urzeczywistnienia w nich nowej myśli. My robimy coś wtedy, gdy nas do tego zmusza natura, czyli mówiąc prościej — potrzeba. Nikt u nas nie może wskazać dzieła technicznego, które byłoby wyrazem narzucenia się sztuki naturze. A gdy natura nas zmusi, robimy nie to, co dyktuje samodzielny umysł, oparty na znajomości warunków miejsca i czasu, lecz to, co robią gdzieindziej. Idziemy szlakiem przez innych utartym. Jakkolwiek ci, co się gapią, mało widzą, jednak dla nas gapiących się na wieżę Eiffla i przygnębionych jej ogro-

mem — jest ona niebywałym dotychczas wyrazem zapanowania sztuki nad naturą, inicjatywy nad stosunkami ekonomicznymi. Niejeden z nas, zasiedziawszy się kilka lat w okolicy pozbawionej przemysłu, zdala od kraju, powtarza sobie, że do Królestwa niema po co jechać inżynierowi. Warszawa, względem takiego np. Witebska, tak jest uposażona w wygody życia i siły techniczne, że jedne drugim nietylko wystarczają, lecz jest nawet nadprodukcya techników. Dopiero gdy taki robak prowincyi stanie pod wieżą — poznaje, że jest jeszcze po co pojechać i osiąść bodajby w samej w Warszawie, i że można jeszcze znaleźć tam co do roboty, choćby żaden francuz albo Niemiec takiej wieży w Warszawie nie zaczął budować.

W dalszym ciągu wypada nam zatrzymać się nad znaczeniem materiałów surowych, które złożyły się na główne budynki wystawowe.

Rozwój przemysłu żelaznego w ciągu całego bieżącego stulecia doszedł do takich rozmiarów, że stawianie z żelaza wielkich budowli — piramid nowożytnych, nie może dziwić technika. Ceny żelaza na Zachodzie są znacznie mniejsze, niż u nas. W miarę jak posuwamy się ku zachodowi, wartość tego metalu znacznie się obniża, a wzrasta wartość drzewa. Już w Niemczech północnych widzimy stare, żelazne materiały kolejowe użyte do osłaniania planty od zamieci śnieżnej, jak np. szyny, zamiast słupków. W Belgii i Francji północnej spadły ceny szyn stalowych do tego stopnia, że w r. 1884 fabryki Denain Anzin dostarczały kolei państwowej *rumuńskiej* szyny po 148 fr. za tonnę, czyli po 2 fr. 50 cm. za pud. Tymczasem w roku przeszłym „Huta Bankowa“ w Dąbrowie uznała za niemożliwe zajmować się nadal wyrobem szyn, ponieważ fabryka Hughes'a (Zuza) w południowej Rosji obniżyła cenę puda do 1 rs. 51 kop. na miejscu (*loco* fabryka). A jednak cena ta jest półtora raza, według teraźniejszego kursu, większa od ceny szyn francuskich!

Cena żelaznych części wieży Eiffla z ustawieniem wynosiła po 9 fr. od puda, podczas gdy przy naszej taniości robotnika, małe mosty kolejowe wyrabiają fabryki warszawskie *minimum* po 4 rs. za pud. Oóż przeto dziwnego, że mając na północy i na południu od Paryża mnóstwo żelaza, doskonały kamień do fundamentów przy północnej drodze żelaznej, o kilka godzin jazdy od stolicy, tamże ogromne fabryki produktów zwanych *produits refractaires* — Paryż mógł wybudować u siebie wieżę, halę machin i kilka innych pałaców z żelaza i szkła, w czem widzi p. Melchior de Vogué początek nowej epoki budownictwa. Do wieży użyto około 400,000 pudów żelaza. W Królestwie Polskim, w 1887 roku, produkcyę wszystkich fabryk żelaznych wynosiła prawie 4 miliony pudów, w tej liczbie „Huta Bankowa“ w Dąbrowie 759 tysięcy pudów; „Katarzyna“ w Sielcu 822 tys. p.; „Koszyki“ w Warszawie 670 t. pudów, a trzy mniejsze fabryki Królestwa „Milowice“ (w gub. piotr.) i „Nietulisko“ oraz „Bodzechów“ (w gub. radom.) każda wyrabiała w tym roku o mało mniej żelaza, niż poszło na wieżę. Tak się przedstawiają cyfry, dające pojęcie, czem jest przedsiębiorstwo wieży w stosunku do naszego przemysłu.

Oprócz wymienionych już warunków, wśród których jak kwiat lotos strzeliła wieża paryska, mielibyśmy wiele do powiedzenia o znaczeniu bogactwa fantazyi francuskiej; o znaczeniu reklamy w podobnem przedsiębiorstwie jak wystawa; o pierwszeństwie Paryża, jako ognisku wszechświatowych zabaw, fasonów i mody; o sprzyjających wielkim robotom warunkach pogody. Eiffel w swojej mowie inauguracyjnej, jako prezes Towarzystwa inżynierów cywilnych, zrobił wzmiankę, że w Rosyi w ciągu roku tylko 125 dni jest, z powo-

lenia. Świergotały tylko ptaki, szumiały gałęzie drzew, zaczynały brzęczyć muchy w powietrzu, ale Jan tego nie słyszał.

Zdawało mu się tylko, że, kiedy w ustawicznej swojej wędrówce przed budką, zawrócił na prawo, oień żebraczki, podążającej od strony miasta ku brzegowi stawu, zamajaczył mu przed oczami.

Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego: patrzył nieświadomie; wzrok nie odbijał wrażeń w mózgu.

Zresztą — tyle razy już o tej samej porze ta sama postać przesunęła się przed jego wzrokiem!

Chodziła zawsze rano i po południu z miasta ku wsi, nad staw, pod topolę, do pnia której był przybity cudowny obrazek świętego Rocha, znaleziony przez jakiegoś chłopaka na drodze, niedaleko od owej topoli.

Gromada dzieciaków najczulszej biegła za i przed obdarta, bosą kobietą, wołając: „Domicela, a gdzie twój papież? Czy list już przyszedł od niego do ciebie?“

Szarpały ją za suknię, ciskały kamieniami w bosc, chude jej nogi, sypały piasek w nieprzytomne oczy.

Ona — rozkrywała chustkę, którą była okutana i, wywijając długimi, kościstymi rękami, broniła się, jak mogła. A gdy ją napastowano bardziej niż zwykle, podnosiła dłonie do góry, ścisnęła niemi skronie

i całym pędem biegła nad staw, ku topoli, wołając: „święty Rochu, ratuj mnie, ratuj!“

Chustka spadała jej z ramion; spódnicą plątała się u nóg.

Padła nieraz na drodze, nim zdołała dobieść.

Wówczas — dzieci podnosiły ją, zarzucały jej chustkę na plecy i zostawiały ją w spokoju, wołając tylko za nią: „A pomódł się do świętego Rocha, żeby ci rozum wrócił i żeby papież najprędzej po ciebie przyjechał.“

Dziś — dzieci były zajęte zbieraniem nieroztopniałych jeszcze gradowych kulek. Domicela szła sama: nikt nie biegł ani przed nią, ani za nią. Pomimo to — oglądała się co chwila trwożliwie dokoła siebie, jakby wypatrując, czy jej kto czego złego nie zrobi.

W połowie drogi stanęła i, obejrawszy się jeszcze raz za siebie, klękła przed drewnianym krzyżem, trochę już spróchniałym i mocno ku ziemi pochylonym.

Odmówiła spokojnie z oczami, w niebo wzniesionymi, Ojczy nasz i Zdrowas Marya, odśpiewała litanie do Pana Jezusa i Matki Boskiej, żegnała się i biła w piersi długo, a potem — raptownie wstała.

(D. n.)

du zimna, przydatnych do robót budowlanych — itd. itd. Wszystkie te okoliczności jeszczeby nie wyczerpały porównania, bowiem zostałyby przywileje rasy, starszej cywilizacji itd., kategorie, które za daleko odbiegają od szczupłego zadania naszego.

Wilebsk.

A. Pawłowski.

LISTY Z NAD BALTYSKIM.

Otwarcie nowych sądów okręgowych w Rewlu, Rydze, Libawie i Mitawie. — Reforma sądownictwa. — Mowy p. ministra sprawiedliwości. — Zachowanie się ludności ruskiej, łotewskiej i estońskiej. — Opinie prasy. — Historia powstawania reformy sądowej. — Sprawy rad miejskich. — Wiadomości bieżące.

W Rewlu, Rydze, Mitawie i Libawie, p. minister sprawiedliwości, Manassein, otworzył uroczyste sądy okręgowe oraz ogłosił za otwarte sądy pokoju w guberniach nadbaltyckich. Te dla stosunków miejscowych wielkiej doniosłości fakty odbywały się szybko, jeden za drugim. W Rewlu ceremonia spełniła się dnia 2 grudnia, w Rydze — 10, w Mitawie — 12, a w Libawie — 15.

P. ministrowi w wycieczce jego towarzyszyła liczna świta urzędników, przybyłych z różnych stron, umyślnie w tym celu. Byli w tem gronie pp. mistrz dworu, dyrektor kancelaryi ministerium Kazem-Bek, dyrektor departamentu Kobylinski, starszy prezes moskiewskiej Izby sądowej Zawadzki itd. Mowy p. ministra, wygłaszane przy tej sposobności, zawiadamiały, że z woli Najwyższej reforma sądowa Cesarza Aleksandra II darowana zostaje obecnie i krajom nadbaltyckim a „niewątpliwie przyczyni się do rozkwitu i rozwoju kresów baltyckich, na drodze spokojnego życia obywatelskiego, i będzie współdziałała dalszemu zjednoczeniu się tych dzielnic z innemi częściami wspólnej, kochanej ojczyzny.“ Dalej zwracał się p. minister do nowo mianowanych urzędników, wzywając ich, aby, prócz spełniania powinności, żyli miłością dla sprawy, której działalność swą poświęcają. „Spełniajcie zawsze obowiązki służby w całej ich rozciągłości, stojcie mocno i wytrwale na straży prawdy i prawa, trzymajcie wysoko sztandar ruskiego sądu państwowego.“ W mowie wypowiedzianej w Mitawie, p. Manassein przypominał historię, mianowicie, że dnia 27 kwietnia 1795 r., lenne względem Polski, Księstwo Kurlandzkie weszło w skład państwa ruskiego; wówczas ogłosiła Cesarzowa Katarzyna II całą ludność, że Kurlandya „korzystać będzie ze wszystkich tych praw i przywilejów, jakimi się cieszą, z łaski Najwyższej, dawni poddani ruscy.“ Nowa reforma jest jakby stwierdzeniem tego przyrzeczenia.

Wieczory podczas otwarcia sądów spędzał p. minister w miejscowych klubach ruskich, gdzie urządzano dlań stosowne przyjęcia. W Rewlu profesor wszechnicy dorpackiej, p. Wiskowatow wygłosił okolicznościowy wiersz p. n.: „Sąd ruski.“ P. ministra spotykały wszędzie deputacje od towarzystw ruskich, łotewskich i estońskich, wręczając mu adresy, w których wypowiedzianą wdzięczność za przekształcenie sądownictwa.

Dnia poprzedzającego otwarcie sądów nowych odbyły się ostatnie posiedzenia dawnych, poczem w kościołach luterańskich odprawiono stosowne nabożeństwa.

Reformę powyższą przyjęła prasa ruska, łotewska i estońska z najwyższym zachwytem. *Riżskij Wiestnik* pomieścił dwa wstępne artykuły, tłumacząc się w drugim, że, z powodu choroby redaktora, pierwszy niedość jaskrowo odmalował radosne następ-

stwa tej reformy. Uważa on, że obecne stanowisko organu ruskiego w Rydze wymaga szczególnej pracy i nakładu, więc wychodzić zaczął w zwiększonym formacie. Opinię łotewską obrazuje dosadnie artykuł pisma *Postimees*: „Z dniem dzisiejszym kończy się wszystko stare, a zaczyna się wszystko nowe. Nasza ojczyzna od dnia tego inna będzie miała wygląd. Ci, w których rękach dotąd leżała sprawiedliwość i rzędy, stracili swą władzę: sędzią będą mieszkańcy naszej ojczyzny osoby, mianowane przez wyższą władzę państwową. Okoliczność to bardzo ważna. Co powiedzieć nam wiernym poddanym Tronu o tej reformie? Chyba nie więcej, jak wykrzyknąć z całego serca: „niech żyją nowe sądy i instytucje! Niech im łatwo będzie szerzyć sąd i prawdę, karząc winnych, broniąc niewinnych! Niech żyją nowi państwo dojostojnicy! Niech będzie błogosławioną ich praca na korzyść naszej drogiej ojczyzny! Niech żyją po tysiąc razy!“

Niemiecka prasa nie wychodzi z tonu informacyjnego. Większość Niemców oddawna wprowadziła reformy tej pragnęła. Pozbawienie atoli ich inicjatywy ostatecznego wprowadzenia jej w czyn, oraz niektóre okoliczności, składają się na zajęcie przez ich prasę w tej sprawie stanowiska względnie biernego.

Reforma sądownictwa nie zjawiała się tu niespodziewanie. Jest ona w bezpośrednim związku z ogółem przekształceń, jakie w kraju nadbaltyckim rząd przedsięwziął oddawna zamierzał. Już w r. 1850 wydano rozkaz, na zasadzie którego tylko urzędnicy obeznani dokładnie z językiem państwowym posady rządowe obejmować mogli, przepis ten stwierdzono w r. 1867, następnie w r. 1869, na zasadzie raportu generała Albedyńskiego, uznano za stosowne, ażeby w instytucjach, w których urzędnicy są mianowani przez rząd, wszelkie sprawy były załatwiane po rusku; język niemiecki miał być tolerowany tylko w instytucjach, gdzie urzędowały osoby z wyborów.

Sprawa reformy sądownictwa w prowincjach nadbaltyckich oddana została pod rozpatrzenie komisji, w której przewodniczyli ks. Bagration i b. minister sprawiedliwości hr. Pahlen. Według ich opinii w sądach pokoju kraju tutejszego dwa języki — ruski i niemiecki miały być równoprawnione; przytem jednak protokoły i korespondencja kancelaryjna prowadzone być miały w języku niemieckim. Osobna z Rady państwa wydelegowana komisja projekty te badała i przysłała do wniosku, iż przeczą one rozkazom z lat 1869 i 1877. Podala tedy ze swej strony projekt, według którego w sądach winien język ruski być obowiązującym, z wyjątkiem podań piśmiennych i zeznań ustnych, które mogą być uskuteczniwane w językach miejscowych. Projekt ten opiera komisja na wniosku, iż, nie krępując miejscowej ludności, niedość obeznanej z językiem ruskim, należy mu, jako państwowemu, bądź co bądź odpowiednio wyznaczyć stanowisko.

Rada państwa atoli (w maju r. 1880) rozszerzyła jeszcze w tym projekcie rolę języków i narzęczy miejscowych, pozwalając świadkom i biegłym przemawiać według woli.

Przepisy z r. 1885 inaczej bieg rzeczy skierowały. Zamiast sędziów z wyboru i sądów przysięgłych powstać miały sądy takie jak istniejące w kraju połud.-zachodnim i w Królestwie Polskim.

Najważniejszy względ, według opinii prasy, że urzędnikom z wyborów język państwowy będzie obcy, został usunięty, gdyż obecnie mianuje ich rząd. Dalej, przypuszczają (np. *Riż. Wiest.*), że gdyby wybór języka, w jakim na sądzie przemawiać należy, w zupełności zależał od stron, świadków i biegłych, to zawsze oddaliby oni pierwszeństwo ojczystemu, co z drugiej strony

wyznacza w sądzie państwowym językowi ruskiemu zupełnie nieodpowiednią rolę.

Oto rys krótki motywów i poglądów, które się złożyły na obecną całość sądownictwa nadbaltyckiego.

W dziedzinie pragnień miejscowych Niemniej chyba doniosłem jest przed kilku dniami ogłoszone prawo, zastosowane natychmiast, według którego w radach miejskich, na razie tylko rewelskiej, ryskiej i mitawskiej, rozprawy odbywać się winny tylko w języku państwowym. Nadto, polecono zawiesić specjalny przepis, nadający w miastach tych godność wyborcy każdemu, kto ukończył wyższy kurs nauk i wniósł do kasy miejskiej rs. 3 wkładki. Stan tego rodzaju osób był licznym, zwał się „Literaten-Stand“ i wpływał silnie na przebieg wyborów do rad miejskich.

Wskutek powyższego przepisu zarząd miejski (Stadtamt) w Rydze podał się do dymisji. Rada miejska (Stadtverordnetenversammlung) postanowiła, wobec bliskości nowych wyborów do rady miejskiej, zarząd zatrzymać, udzielając jego członkom rubli tysiąc na koszt utrzymywania przez ten czas tłumaczy. P. prezydent miasta Rygi, Oettingen, z innych powodów opuścił dotychczasowe swe stanowisko.

W dniu otwarcia sądu okręgowego w Mitawie wyszedł tamże pierwszy numer nowego pisma *Pribaltiskij Wiestnik*. Zakreśla ono sobie „narodowo-historyczną ruską drogę.“ Zwraca uwagę w artykule programowym, iż prowincje tutejsze, zasklepione same w sobie, obce były wszelkim objawom postępu, jakie w Rosyi się przejawiały. Ostatnie reformy spowodowały zmianę. Skutek wszędzie jest widocznym: „Podniosło się stanowisko i urok imienia ruskiego, zewsząd ukazały się zaczątki samodzielnego życia ruskiego, oświaty ruskiej; czuć się w kraju daje duch ruski, i świeżymi, zdrowymi strumieniami płynie, bez przeszkód, mowa ruska itd.“ Celem pisma jest dążenie do stworzenia „nie zewnętrznej równości form i urządzeń życia w Cesarstwie i na kresach, ale zasad silnych i żywotnych, któreby części te państwa w jedno łączyły.“

Podobno Warszawie obecnie nawiedziła epidemia, która u nas, w Rydze zatamowała, na razie, wszelkie upływy życia publicznego. Influenza wraz z towarzyszącymi jej zapaleniami oskrzeli i płuc, chorobami gardła i dysenterją rozpostarła się tutaj tak szeroko, że szkoły, teatry itp. na zbiorowisku liczniejszem ludzi oparte instytucje świecą obecnie pustkami. Biedne nasze Towarzystwo dobroczynności dotknęła boleśnie w najgorętszym czasie jego zniwota „brzydka“ słabość. Bazar doroczny odwiedziła połowa zwykłych gości; teatr polski umarł jeszcze przed powiciem przez komitet całkowitego personelu. W sprawie influenzy ogłosił mieszkający tu dr. Józef Dubicki ciekawe artykuły, zapoznające czytelnika z konieczną higieną w czasie tej choroby oraz z ciekawą zaiste jej historią.

R.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NOWOCZESNY PRĄD MONOPOLOWY.

Przed kilku miesiącami pisma nasze doniosły, że jedna z potęg przemysłu górniczo-węglowego usiłuje wytworzyć odpowiedni kartel (tj. solidarny związek pomiędzy właścicielami kopalń węgla) w celu podwyższenia tą drogą cen produktu opałowego. Pogłoska ta wywołała dość silne oburzenie. Że niepokój był zupełnie słuszny, możnaby łatwo dowieść licznymi przykładami, zaczerpniętymi chociażby z Austrii.

Uczestnictwo w kartelu jest tutaj równoznaczne z systematycznym rozbojem, poświadczanym na spożywcach. Zresztą najlepsze świadectwo, że pod płaszczykiem syndykatów i karteli mamy często do czynienia z bardzo brudnymi sprawkami, stanowi okoliczność, iż starannie ukrywają one przed światem tajemnicę swego istnienia, jak to widzimy np. na związkach austriackich piwowarów i cukrowników. Dopiero jakiś przypadek odkrywał obecność zmowy. Atoli gdyby chodziło jedynie o dorzucenie swego głosu do ogólnego chóru, nie bralibyśmy jeszcze pióra do ręki. Inna rzecz skłania nas do tego, mianowicie, iż ruch pokrewny znowie naszych węglowców wzrasta wszędzie, wylaniając przytem nietylko spiski przeciw społeczeństwu, i wraz z innymi tego samego rodzaju objawami znamionuje nastanie wprost nowej ery ekonomicznej. Ażeby scharakteryzować stan rzeczy w tej mierze, powołamy się na kilka przykładów z ostatniej chwili. Na zjeździe (przed rokiem) brytańskiego Stowarzyszenia dla postępu wiedzy, Foxwell, profesor londyńskiego University College, miał mowę, potrącającą o tegoczesne zagadnienia ekonomiczne. „Po wieku całym, który upłynął wśród najczynnniejszego i w najwyższym stopniu wyuzdanego współzawodnictwa, jakiego świat jeszcze nie oglądał dotychczas, przed ekonomistami naszej doby ukazują się nowe a nader ważne zadanie: rozwój i przyszłość monopolu.“ Nadano tutaj słuszenie kartelowi pojęcie szersze. Rzecz ciekawa, że sam mówca, mimo że jest wigiem, głosi za monopolem, a raczej przyjmuje konieczność jego nastania.

A teraz udajmy się na wstępną lekcję Luja Brentano, którą miał ostatnią wiosną w Lipsku, zajmując opróżnioną po Roscherze katedrę nauki ekonomicznej. Rozpatruje on, gdzie szukać przyczyn dzisiejszej nędzy i znajduje w zaburzeniach rynkowych i anarchii wśród produkcji. „Kiedy teoretycy toną w jałowym wyszukiwaniu środków, z łona samego życia, z pośród potrzeb praktycznych rodzi się nowa organizacja, która dąży do zniesienia przesilen z ich nieodzownem następstwem — nędzą. Są to kartele.“

Jest to jednak jeszcze głos umiarkowany. Przerzućmy stronicę miesięcznego organu, wydawanego w Wiedniu przez Vogelsanga, a będącego wyrazem feodalno-chrześcijańskich społeczników, i znajdziemy tam w ostatnich czasach jeszcze przychylniejsze sądy. „Jak w naturze roślinnej, podobnie w społeczeństwie ludzkim tkwi silna zdolność samoleczenia, która uzdrawia niedomagania i skaleczenia.. Kartel jest fazą przedwstępną, którą przebywa wielki przemysł, aby wejść na drogę obowiązkowej stanowości; jest on objawem do wyrwania się z objęć anarchii teraźniejszej...“

Przytoczyliśmy kilka wyjątków, świadczących o nadziejach pokładanych w kartelach. Z podanych sądów najwyższą uwagę zwraca na siebie mowa Foxwella. Brentano i miesięcznik Vogelsanga witają te urządzenia jako środek, który winien zapobiedz społecznym skutkom maszyn. Tymczasem statysta angielski, zamiast wypowiedzienia życzeń, usiłuje przewidzieć formułę dalszego rozwoju ekonomicznego. Z pewną przykrością widzi, że zawiera się ona w monopolu. I zaiste niepodobna nie zgodzić się na jego wywody, że gwałtownie staczamy się w tym kierunku. Jest to w najzupełniejszej zgodzie z całokształtem nowoczesnego postępu ekonomicznego. Współzawodnictwo rynkowe jest widownią wybijania się nielicznych a zasobniejszych w fundusze kapitalistów i upadku całej rzeszy drobnych przedsiębiorców. Zwycięstwo należy się pierwszym, gdyż oni są w stanie wprowadzać różne ulepszenia techniczne, obniżające kosztu produkcji, oraz wytrzymać dłużej okres zastoju. Wskutek tego powstają coraz bardziej olbrzymie za-

kłady przedsiębiorcze. W Chicago mamy np. magazyny krawieckie, z których jeden zajmuje cały dom siedmiopiętrowy, długości od frontu 100 stóp, głębokości zaś 150. Bezwarunkowo jest to swojego rodzaju monopol, który wyrósł na ruinach tysięcy i być może więcej drobnych warsztatów krawieckich. Całe życie ekonomiczne pecha tegoczesną społeczność po tej drodze. Co więcej, takie ogromne przedsiębiorstwa są w niektórych gałęziach wprost koniecznością techniczną. Można tutaj wskazać koleje żelazne, sieci telefoniczne, agencje nowin politycznych, doki okrętowe. Należy także pamiętać, że każdy taki monopol nowoczesny powołuje do życia mnóstwo innych. W interesie drogi żelaznej spoczywa, aby miała do czynienia z najmniejszą liczbą klientów, prowadzenie ksiąg, rachunków itd. doznaje znacznego wtedy uproszczenia. Dużym kanforem transportowym daje ona większe ustępstwa i przyczynia się do ruiny mniejszych; stwarza na swoich krańcach olbrzymie hotele; wzdłuż swego biegu wywołuje monopole księgarskie itd. To samo widzimy na każdym kroku. Śmiało można się zatem zgodzić z Foxwellem, że po stuleciu wolnej konkurencji nastaje wiek monopolów. A kiedy dawne wynikały jedynie z przywileju prawnego, nowoczesne tkwiąc zaczynają w warunkach technicznych i ukazują się w następstwie zastosowania lepszych metod produkcji. I zatrzymać ruch w tym kierunku da się tylko przez stworzenie monopolu drobno-cechowego, dzięki swoim drobnowidzowym rozmiarom niedozwalającego na kontrolę państwową! Mniejszym przeto złem jest monopol wielki, umożliwiający wglądanie państwa i tańszą produkcję. Z tego powodu można zrozumieć owych ekonomistów amerykańskich, o których wspomina profesor londyński, co pogodzili się z myślą, że przyszłość należy do monopolu, i zamiast występowania przeciw niemu, poszukują w prawodawstwie środków zaradczych, zdolnych powstrzymać nowoczesnych monopolistów od nadużyć. Otóż kartele amerykańskie są dotychczas ostatnim wyrazem w rozwoju centralizacji przemysłowej i stwarzaniu nowożytnego monopolu *). Zresztą ruch kartelowy przybrał i w Europie dość szerokie rozmiary. Wprawdzie jeśli zapytamy statystyki o odnośne cyfry, wysunie ona dość niepokojące. Okazuje się, że np. w Anglii istnieje około 10, w Austrii do 20, w państwie niemieckim przeszło 50 karteli. Tymczasem natężenie ruchu jest daleko silniejsze i powyższe liczby podają tylko statystykę zmoów, dążących do zmniejszenia wzajemnej konkurencji i ustalenia cen produktu. Lecz zatrzymajmy się nad Francją. Mamy tutaj na początku niniejszego roku aż 942 syndykatów pomiędzy „patronami.“ Przedsiębiorcy tego samego zawodu łączą się w związki dla obrony i popierania interesów. Idzie o poznanie stanu rynku i odpowiednie normowanie produkcji, nabycie i rozpowszechnienie ulepszeń, usunięcie przekupniów i wejście w bezpośrednie stosunki z nabywcą, wreszcie o odpowiednie rozdzielanie zamówień pomiędzy członków syndykatu i o solidarne działanie w celu podwyższenia cen i usunięcia niepewności. Jak widzimy, różnica pomiędzy syndykatami a właściwymi kartelami polega jedynie na tem, iż cele, właściwe ostatnim, wchodzi tylko jako cząstka, zwykle milczeniem pomijana, w program pierwszych. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy, lubo na pozór osłabia rozmiary ruchu kartelowego, któremu przypisują je-

*) Musimy zauważyć, że mówiąc o kartelach, mamy na myśli jedynie związki pomiędzy producentami, lecz nie owe zmowy przekupniów-spekulantów w rodzaju sławnego paryskiego syndykatu miedzianego. Głosy takie, jak Vogelsanga, tak sympatycznie usposobione dla karteli przemysłowych, nie mają wprost słów dla wypowiedzenia swego oburzenia względem „ringów“ giełdżarskich.

dynie dążność do ograniczenia konkurencji pomiędzy przedsiębiorcami. Lecz jest to charakter właściwy tylko Staremu łądowi. Powstaje w ten sposób monopol, który nie jest jeszcze koniecznością techniczną. Przeciwnie niemu prawodawstwo może skutecznie wystąpić, jako przeciw znowie zakładów technicznie niezależnych. Być może, kartele europejskie zatrzymały się na tej postaci i nie poszły dalej, ponieważ muszą się borykać z brakiem prawnego zabezpieczenia. Jedyną bowiem spójnią pomiędzy kartelownicami jest wzajemne zaufanie, że każdy z pośród stowarzyszonych dotrzyma zobowiązania. Jest to jednak krucha podstawa. To też póki czasy są ciężkie, zmowa istnieje. Ale niechno któremuś uśmiechnie się nadzieja obfitego łupu, zrywa pokrywomusło. Ani jeden z karteli niemieckich nie umarł dotychczas śmiercią naturalną, tj. doczekawszy się wyznaczanego terminu. Zwykle rozpadają się one przed czasem, często na wieść, że któryś kartelowiec gotów przeniewierzyć się. We Francji próbowano przeniewiercę ścigać sądownie, ale sądy odmówiły przyjęcia skargi, jako mającej na widoku cele nielegalne... W tych warunkach kartele z konieczności musiały pozostać jedynie znowami przeciwko spożywcę, bez spoidła technicznego. Co najwyżej posuwano się do stworzenia wspólnego kantoru zamówień i sprzedaży. Atoli w Ameryce, gdzie podobne związki pod nazwą „trustów“ znalazły formę prawną, przybrały one inny wyraz. W ostatnich dwóch latach parlamenty stanów New-Yorku i Massachusetts oraz ogólnopństwowy wyłoniły specjalne komisje dla zbadania sprawy i wyciągnięcia karteli na widok publiczny; na brak materyału niepodobna się przeto skarżyć. Istnieją tutaj związki tak olbrzymich rozmiarów, że trudno uwierzyć, jak „Oil refineries trust“ i „Sugar Company.“ Opierają się na następującej podstawie. Akcyonaryusze składają swe akcje na określony w kontrakcie termin w ręce kilku wybranych ku temu osób, tak zwanych „trustee“ (opiekuni), natomiast otrzymując odpowiednią ilość studolaryowych certyfikatów. Akcje spoczywają nieruchomie jako depozyty, tymczasem certyfikaty mogą krążyć na giełdzie i zmieniać właścicieli, dając tym ostatnim jedynie prawo do pobierania dochodów. W ten sposób opiekuni okazują się rzeczywistymi kierownikami połączonych przedsiębiorstw; naturalnie posiadacze certyfikatów są zabezpieczeni przeciw nadużyciom z ich strony. Zresztą uczynimy najlepiej, jeżeli przyjrzmy się wewnętrznej organizacji trustu cukrowarskiego, który zawiązał się na przeciąg czasu nieskończenie długi. Każde przedsiębiorstwo, przypuszczone do związku, winno złożyć wszystkie swoje akcje; będące zaś w posiadaniu pojedynczej osoby — zamienić się na spółkę akcyjną. Trusteeowie stanowią zarząd, który prowadzi od siebie produkcję w oddzielnych zakładach, wchodzi w stosunki z nabywcami i wreszcie pobiera wszystkie dochody. Do czystego zysku mają akcyonaryusze prawo w stosunku do posiadanej sumy akcyjnej, bez względu na różnice w wydajności pojedynczych stowarzyszonych przedsiębiorstw. Może się zdarzyć, że dla pewnych widoków zakład jakiś z rozporządzenia zarządu zostaje zamknięty na krótszy lub dłuższy przeciąg czasu, a jednakże akcyonaryusze odpowiedni otrzymują podobny udział, jak inni. Co więcej, zarząd jest w stanie zupełnie znieść jakieś stowarzyszone przedsiębiorstwo, lecz akcyonaryusz żaden nie na tem nie traci... Cóż tedy mamy tutaj? Nic innego, jak połączenie pod postacią kartelu dotychczas niezależnych zakładów w jedną olbrzymią firmę akcyjną, która obejmuje 85% całej produkcji cukru w stanach nadatlantycznych. Odrębna fabryka stała się tutaj jedynie pojedynczym warsztatem większego przedsiębiorstwa i nie nie staje na zawadzie, aby te oddzielone w przestrzeni

warsztaty nie zostały z czasem skupione w jednym najdogodniejszym miejscu. Nadto takie trusty dotychczas są szczególną złączy przeciw społeczeństwu, a mianowicie dążą do tego, aby dzięki centralizacji administracyjnej i ułatwionemu nabyciu ulpszeń zniżyć koszt produkcyjny i taniością produktów pobić współzawodników na rynku wszechświatowym... Dość przejrzyć dzieje trustu naftowego. Zręczny jeden spekulant, a zarazem przedsiębiorca naftowy, wyjednywa u kolei żelaznych pewne ulgi przewozowe; dzięki temu z czasem wyrasta na króla naftowego. Zmusza współzawodników do zawiązania trustu i zrobienia siebie głównym „opiekunem.“ „Trust“ zawiązany przeprowadza ogromne naftociągi od źródeł do ważniejszych portów, liczące czasami kilkaset wiorst. Techniczne ulepszenie wraz z innemi obniża niezmiernie koszt produkcyjny i przewozu i w dalszym ciągu cenę nafty na rynku miejscowym i zagranicznym. Lecz jednocześnie owe techniczne przekształcenia stają się przedmiotem spoidłem dla istnienia „trustu“, niepozwalając mu rozpaść się kiedykolwiek. Jest to w całym tego słowa znaczeniu wyjątek centralizacji technicznej. I właśnie taki charakter przybierają i inne kartele amerykańskie. Są one prawną szatą dla dalszego postępu technicznego i w całej pełni uwidoczniają ową dążność ku nowoczesnemu monopolowi, wynikającemu z użycia szczególnych środków produkcyjnych. Teraz możemy pojąć, dlaczego ekonomiści amerykańscy godzą się z monopolem i odrzucają dawną zasadę: *laissez faire, laissez passer*. „Mniemam — mówi Foxwell — że dowiódł, iż rozwój monopolów stanowi fakt najwyższej wagi pod względem ekonomicznym; okoliczność ta winna zmienić nasze poglądy na rolę państwa, o ile wynikają one z założenia bezwzględnej wolnej konkurencji...“

Należałoby obecnie pomówić o środkach prawodawczych, za pomocą których ekonomiści amerykańscy myślą powstrzymać ujemne skutki nowoczesnego monopolu, oraz, co ważniejsze, o znaczeniu kartelów jako bojowo-klasowej organizacji przedsiębiorców względem najmitów. Rzecz charakterystyczna bowiem, że np. „trust“ cukrowy w ustawie swojej mówi między innemi, że jest odpowiedzią na związek Rycerzy pracy. Brak miejsca nie pozwala jednak wchodzić w te szczegóły. Natomiast musimy wyjaśnić, dlaczego Brentanowie i Vogelsangi witają związki kartelowe tak przychylnie. Nie idzie im już o techniczne znaczenie tych monopolów, lecz o ich działanie przeciw anarchii rynkowej i związanemu z nią powstawaniu demokracji społecznej. Marzą oni o szczególnem społeczeństwie. Własność prywatna istnieje, lecz przedsiębiorcy każdego zawodu stanowią jedną organizację kartelową, która za pośrednictwem zarządu zbiera statystykę oddolnych potrzeb, odpowiednio normuje rozmiary produkcyjny i rozdziela pomiędzy pojedyncze zakłady oraz zajmuje się dostarczaniem produktów bezpośredniemu społeczeństwu. Robotnicy posiadają zupełną pewność jutra i stałą pensję z zupełnem zabezpieczeniem starości itd. W ten sposób usunięta zostaje anarchia rynku wraz z głównym źródłem podniecającem robotników, lecz zatrzymana własność rentująca. W gruncie rzeczy jest to „socjalizm kapitalistyczny“ lub raczej, jeśli się bliżej rozejrzeć, feudalizm przemysłowy. Przedstawicielstwo polityczne jest zorganizowane na podstawie zawodowej, pryncypał ma być przedstawicielem takim fabryki, jak baron — poddany... Do tego ideału wrócimy jeszcze kiedyś. Właśnie ku temu porządkowi rzeczy wzdycha otwarcie Vogelsang i mniej otwarcie Brentano z Rodbertusowcami... Zauważmy tylko, że jeżeli monopol nowoczesny prowadzi ku feudalizmowi przemysłowemu, z drugiej strony otwiera on inne wyjścia. Można było u-

państwowić koleje żelazne tylko dlatego, że techniczna centralizacja była wysoka. Zcentralizowanie całej produkcji naftowej w ręku jednego „trustu“ umożliwia również przywłaszczenie tego zawodu przez państwo. W ten sposób monopol techniczny, będący następstwem wywłaszczenia mnóstwa drobnych przedsiębiorców przez niewielu wielkich, umożliwia nastanie innego czynu: wywłaszczenia drogą prawodawczą tych niewielu przez zorganizowaną ekonomicznie wolę społeczną.

K. R. Żywicki.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORIA.

Historia powstania nowoczesnego państwa niemieckiego.

Wielkie dzieło historyczne Henryka Sybla^{*)}, które zajmuje obecnie prasę i publiczność niemiecką, dla historyków fachowych nie było niespodzianką; zbyt długo bowiem przygotowywał dyrektor państwowego archiwum niemieckiego tę pracę zdumiewającą swym ogromem. Już pierwsze dwa tomy, które obecnie się pojawiły, obejmują tysiąc stron, a dalsze trzy, zapowiedziane na rok 1890, jeszcze nie wyczerpią materiału. Słowa, wypisane w tytule: „przeważnie na podstawie pruskich aktów państwowych“, określają charakter tego dzieła, którego autor wyznaje zresztą sam, że „na żadnym miejscu książki nie przeniewierza się pruskiemu i narodowo-liberalnym swym przekonaniom.“ Sybel niema wcale pretensji do bezstronnego traktowania rzeczy; jest to historia urzędowa, ogłoszona w porozumieniu z kancelarzem, który pozwolił zużytkować materiały archiwalne. Zadanie jej łączy się bezsprzecznie z politycznymi celami Niemiec. Ogłaszając dziś dzieje powstania państwa niemieckiego, Prusy rozpowszechniają pewien szereg poglądów, które potem trudno będzie wykończyć z umysłów. Zważywszy, że inne państwa nie otwierają wstępu do akt państwowych od r. 1815 aż do czasów teraźniejszych, łatwo zrozumieć, że dziejopisarstwu pruskiemu wolne pozostaje pole do stwarzania opinii publicznej. Można więc dzieło Sybla uważać jako naukowy „pendant“ do wielkiego obrazu dyrektora Kellera, wyobrażającego apoteozę cesarza Wilhelma i jego wodzów.

Sybel rozpoczyna swą pracę obszernym wstępem p. t. „Rückblicke“, przypominającym wstęp do historii wieku XIX Gerwinusa, a obejmującym dzieje Niemiec od czasów najdawniejszych aż do rewolucji marcowej. Mamy tu też same punkty widzenia, które dla książki Sybla „Die deutsche Nation und das Kaiserreich“ (ogłoszonej w r. 1862) zbudziło tyle niechęci. Autor ten minionych okresów historii nie umie, czy nie chce pojmować z własnego ich ducha, cały rozwój Niemiec mieni jednym wielkim błędem, najdzielniejszych cesarzy — złymi politykami, dlatego, że nie urabiali państwa w myśl Hohenzollernów. Wysławia partykularizm, o ile zwraca się przeciw potęgze Habsburgów, broniąc zresztą idei zjednoczenia Niemiec pod hegemonią Prus, które, jako opatrnościowa głowa państwa, w najsympatyczniejszych występują u niego barwach. Zawsze jednak bezstronniejszym jest, aniżeli Treitschke, który nawet rozpustnego pietystę Fryderyka Wilhelma II czyni bohaterem. Sybel

przyznaje, że gabinet wiedeński za czasów Metternicha zupełnie uległ wpływowi kanclerza wiedeńskiego, którego Fryderyk Wilhelm III zwał swym ministrem spraw zewnętrznych. Dopiero dzieje lat 1848—50 traktuje na podstawie badań archiwalnych. Fryderyk Wilhelm IV, zwany „romantycznym na tronie“, znany jest z pamiętników Ernsta Koburskiego, z biografii Rankego, wreszcie z korespondencji własnej z Bunsenem. Nowym jest fakt, że król pruski przedstawił Feliksowi Schwarzenbergowi memoriał w sprawie ugrupowania rzeszy niemieckiej. Tu zaczynają się niesłychanie powikłane dzieje pierwocin państwa niemieckiego, snujące się przez lat dziesiątki wyłącznie w ramach układów dyplomatycznych między gabinetem wiedeńskim a pruskim. Najwybitniejszą i najwpływowszą postacią tej epoki jest ks. Schwarzenberg, człowiek o naturze żołnierskiej, dumnej i bezwzględnej. Sprawiało mu to przyjemność osobistą dręczyć słabego króla pruskiego, drążącego ciągle przed rewolucją i pragnącego uniknąć wojny niemiecko-austriackiej. Zdawało się Schwarzenbergowi, że z łatwością zepchnie Prusy na stanowisko podrzędne. Fantastyczny projekt króla pruskiego, by utworzyć cztery królestwa, traktuje ironicznie, sam proponując system grup, któryby obejmował wszystkie kraje Niemiec i Austrii, łącząc je w państwo 70-milionowe. Atoli obrady deputowanych wspólnych w kościele św. Pawła zgutowały klęskę polityce Schwarzenberga. Odrzucono jego projekt, ofiarując królowi pruskiemu koronę cesarską. Deputowani austriaccy opuszczają kościół św. Pawła, ale król pruski na własną rękę próbuje wznowienia dobrych z Austrią stosunków. We Frankfurcie schodzą się delegaci Austrii z czterech królestw niemieckich jako rada rzeszy; reszta Niemiec stanowi się jako unia odrębna. Spór rozwiązuje cesarz Mikołaj, oświadczając w Skierniewicach pod wpływem Schwarzenberga Wilhelmowi, bratu króla pruskiego, że nie ufa unii. Stosunek Austrii do Prus staje się coraz nieprzyjaźniejszym. Ludwik Napoleon proponuje królowi pruskiemu wspólne zaatakowanie Austrii; francuzi mieli zająć włoskie jej posiadłości, podbudzając zarazem węgrów do powstania i w ten sposób pomóc Prusom do zdobycia tronu cesarskiego — w zamian żądali krajów nadreńskich. Prusy odrzucają tę propozycję. Raz jeszcze Schwarzenberg doradza zgodę, wnosi utworzenie duumwiratu, objęcie egzekutywy przez Prusy i Austrię. I ten projekt rozbił się. W Bregencji spotykają się królowie Bawarii i Wirtembergu z cesarzem austriackim i układają związek skierowany przeciw Prusom. Radetzkiego mianowano wodzem naczelnym armii złączonej. Atoli Fryderyk Wilhelm waha się i wysyła hr. Brandeburga do cesarza Mikołaja. Misja ta, rozpoczynająca tom drugi dzieła Syblowskiego, przedstawiona jest w nowym zupełnie świetle. Mniemano dotychczas, że Brandenburg, źle przyjęty przez cesarza Mikołaja, wrócił do Berlina upokorzony i błagał Fryderyka Wilhelma, by porzucił projekty pokojowe. Akty wykazują, że właśnie Brandenburg głównie doradzał ustąpienie, a książę Wilhelm, brat króla, popychał gabinet berliński do kroków ostatecznych. W Dreźnie rozpoczynają się nowe konferencje ministrów. Niemiecka Rada związkowa zmartwychwstaje pod hasłem reakcji. Austriya przewodniczy wprawdzie obradom rzeszy niemieckiej, ale jako pełnomocnik Prus występuje po raz pierwszy Bismark-Schönhausen. Sybel charakteryzuje go obszernie, ale dość ochle. Udziął Bismark w obradach ówczesnych występuje o wiele dokładniej w jego korespondencjach frankfurckich i w urzędowej publikacji „Preussen im Bundestage.“ W chwili, kiedy potęga Prus rośnie o całego Bismarka, Austriya traci Schwarzenberga, „którego śmiałość i energia — według

*) Die Begründung des deutschen Reiches durch Wilhelm I. (München u. Leipzig, R. Oldenbourg), 1890.

słów Sybla — wiodły od jednego powodzenia do drugiego.“ Buolschauenstein, następca Schwarzenberga i uczeń jego, nie umie przeprowadzać politycznych myśli mistrza. Bismark występuje odrazu z całą bezwzględnością rozumu i energii, lecz nie odrazu znajduje posłuch. Oświadcza on jawnie, że jedynym przeciwnikiem Prus jest Austria, czego dowodzi zarówno rada rzeszy, jak układ cłowy. Atoli król Fryderyk Wilhelm uparcie trzyma się myśli sojuszu z Austrią, który przychodzi wreszcie do skutku za pośrednictwem Hessa. Prusy zobowiązały się dostarczyć armii 200-tysięcznej na wypadek, gdyby zaczepiono Austrię. Atoli niezręczna polityka Buola paraliżuje ten krok, obudzając przeciw Austrii niechęć wszystkich państw europejskich, podburzanych nadto przez Cavoura. Bismark przedstawia królowi parę memoryałów, w których wykazuje zgubność dotychczasowej polityki i radzi pozbyć się wszelkich wobec Austrii skrupułów. Król sprzeciwia się jeszcze, lecz pomieszenie zmysłów zmusza go do ustąpienia z widowni politycznej, na której pojawia się książę Wilhelm. Ten w młodości swej nie przypuszczał nigdy, iż mógłby kiedyś dojść do panowania. Mawiał sam o sobie, że nauczył się tylko komendy wojskowej, nie troszcząc się o sprawy państwowe. Wojna włoska wystawiła niebawem na próbę dyplomatyczny rozum sędziwego już Wilhelma. Austria domagała się pomocy poręczonej układem. Król wahał się, wreszcie, w dzień bitwy pod Solferino, rozkazał zmobilizować armię. Tymczasem nastąpił pokój w Villafranca, a cesarz Franciszek Józef obwinił Niemcy, iż zdradziły Austrię. Wiedeń i Berlin pozostają od tej chwili na stopie wrogości. Atoli w Niemczech stanowisko Prus staje się coraz bardziej wpływowym, w miarę rozrastania się poczucia narodowego. Hasła narodowe rozbrzmiewają coraz silniej w literaturze i prasie, nawet z katedr profesorskich. Następuje konferencja książąt niemieckich w Baden-Baden, po której, według Sybla, odbyła się pogadanka między Wilhelmem a Maksem bawarskim, tej treści: król Maks czynił Wilhelmowi zarzuty, iż nie dotrzymał Austrii przymierza w wojnie włoskiej. — A czy twoja armia była zmobilizowana? — odpisał Wilhelm. — W lipcu — rzekł Maks. — Ja — zauważył Wilhelm — w kwietniu już bym był spotkał się z armią francuską, lecz Austria wolała pod Villafranca stracić Lombardję, aniżeli odstąpić nam sławę zwycięstwa.

Wilhelm podjął reformę wojska pruskiego, co go wprowadziło w starcie z własnym krajem. Wówczas przypomniał sobie Bismark, który do owego czasu w Niemczech znany był jako „der freche Junker.“ Bismark odrazu zajął stanowisko charakterystyczne dla późniejszej jego polityki. Podczas ruchów polskich, jedyny Bismark stał po stronie cesarstwa rosyjskiego, zabezpieczając sobie przyjaźń Rosji w wojnie z Austrią. Kiedy w sierpniu 1863 r. król Wilhelm spotkał się z cesarzem francuskim Józefem w Gastein, mówili monarchowie o sprawie polskiej. Wilhelm spisał te rozmowę. Cesarz oświadczył, że tylko dla zachowania pokoju przyłączył się do not mocarstw zachodnich.

Drugi tom kończy się sprawozdaniem o frankfurckim zjeździe książąt niemieckich, na który Wilhelm nie przybył, ulegając radzie Bismarka. Austria przekonała się, że lepiej by dla niej było traktować z samymi Prusami, niż z trzydziestoma książętami niemieckimi. Tom trzeci opisze sprawę Holsztyńską i wojnę duńską, którą Bismark uważa za najzręczniejsze dzieło swej dyplomacji. Tom czwarty zawiera wiele nowego materiału, odnoszącego się do zjednoczenia Niemiec i Włoch; piąty traktować będzie wojnę 1863 r. i powstanie związku północno-niemieckiego. Trzy te tomy zapowiada Sybel już na r. 1890. W nich

mieści się dopiero połowa dzieł powstania cesarstwa niemieckiego.

L.

ETNOGRAFIA.

Józef Rostański, *Szkice ze świata i przyrody*. Serja druga. Z Algeryi.

Dzieło p. Rostańskiego nie jest zbiorem luźnych wrażeń z podróży; owszem stanowi systematyczny opis Algeryi ze stanowiska przyrodniczo-geograficznego, głównie zaś etnograficznego. Złożyły się nań, oprócz spostrzeżeń osobistych, źródła książkowe, po części też wiadomości zebrane na miejscu. Daje ono więc czytelnikowi należyte wyobrażenie o całości opisanego kraju; czyta się z łatwością, autor bowiem napisał je stylem lekkim i jasnym, tu i owdzie nawet ozdobnym, a wplótłszy w wątek anegdotyczne legendy lub zestawienia, ożywił opowiadanie, któremu liczne cynkografie nadają wyrazistość.

Przeważną część dzieła i — dodajmy — najciekawszą, poświęcona opisowi plemion zaludniających Algeryę; po za tem znajdzie czytelnik parę rozdziałów, dotyczących dość pobieżnie geografii fizycznej, flory i fauny, parę innych, roztrząsających niektóre kwestye ogólniejszej treści: tak rozdział o islamizmie zawiera ciekawe szczegóły o tolerancji islamitów i ich poczuciu wyższości wobec pełnej kompromisów wiary zaborców; inny o zabytkach cywilizacji dawniejszych — rzymskiej i arabskiej itp.

Plemiona Algeryi należą do kilku ras: są tu biali i murzyni, aryjczycowie i semi-ci, ale najdawniejszą ludność stanowią berberowie, czyli raczej chamicci. Śród tych najsympatyczniej przedstawiają się kabylowie, czyli amazygowie (tj. ludzie wolni). Są to górale, w których charakterze p. Rostański znajduje wiele rysów podobieństwa z naszymi tatrzaninami: taż sama odwaga, poczucie godności osobistej i równości, pracowitość, ciekawość i dobry humor. O pochodzeniu swoim posiadają kabyłe następującą legendę: „Olbrzym, pochodzący z kraju, gdzie się rodzi słońce, niosąc na barkach niebotyczne głazy, omdlał pod ich ciężarem w okolicach Dżur-dziury, które były wówczas zupełną płaszczyzną; głaz, który niósł, przywalił go, a padając, rozbił się na góry i pagórki, jakie do dziś dnia przetrwały, z fermentu zaś ciała owego olbrzyma powstałi „wolni ludzie“ — Amazygzi.“

Mają oni ciekawy ustrój społeczny. Każda ich wioska, jeśli jest dość liczna, składa się z kilku grup domów; każda grupa obejmuje rodziny spokrewnione lub przyjęte do pokrewieństwa i stanowiące razem *kharubę*, tj. przysiółek. Jest to jednostka polityczna. Cała wieś, *taddert*, składająca się z kilku *kharubów*, wybiera sobie męża zaufania — *amina*; mniejsza łączy się z sąsiednimi i wybierają go z niemi wspólnie. Taki związek zowie się *dechra*. W wypadkach niebezpieczeństwa lub wspólnych interesów pojedyncze *tadderty* lub *dechry* spajały się w stowarzyszenia — *arch*, którym przewodniczył wybrany przez nich *amin-ul-amina* — amin nad aminami. Ale te związki były zawsze czasowe i kabylowie wprost bali się tworzenia zrzeszeń stałych, aby nie wpasć w zależność od aminów na wzór arabów. Tak wysoce rozwinięte mają poczucie niepodległości, że z pogardą mówili francuzom: „pobiliście nas, aleście słuchali jednego generała.“

O interesach gminy rozstrzyga *dżemaa*, tj. wiec obywateli pod przewodnictwem *amina* — większością głosów. Amin, wybierany czasowo lub na całe życie, jest zawsze czuły na oznaki braku zaufania obywateli i skoro go zauważy, usuwa się ze swego stanowiska.

W każdej gminie są pewne związki, czyli stronnictwa — *soffy*, które się grupują rozmaicie; otóż przy wyborze *amina* zwycięża kandydat liczniejszego *soffu*; natomiast mniejszość wybiera *ukila* czyli skarbnika; ponieważ w razie wydatku pieniężnego żaden dokument nie jest ważny, jeśli nie został przez każdego z tych urzędników podpisany, więc mniejszość ma swego przedstawiciela we wszystkich czynnościach gminy.

Dawniej *dżemaa* posiadała władzę prawodawczą i sądową; dziś jest ta władza o tyle ograniczona, o ile się nie zgadza z kodeksem francuskim; ale pomimo to wpływ *dżemaa* jest bardzo rozległy, gdyż kabyłe chętnie się poddają jej wyrokom, aby nie iść po sprawiedliwość do najeźdźców. Prawo ich, t. zw. *Kanun*, nie jest spisane; młodzi uczą się go na posiedzeniach od starszych i tak przechodzi do potomności. Obejmuje ono wiele działów podobnych do ustaw europejskich.

Podstawę prawa cywilnego stanowi własność; ale prócz prywatnej posiadają oni rodzaj własności gminnej, *rabbi*, przeznaczonej na utrzymanie ubogich. Prawa spadkowe są dość podobne do europejskich; kobiety tu jednak nie dziedziczą. W innych wszakże względach używają one u wszystkich plemion berberyjskich znacznej niezależności i szacunku. Kary najcięższe obciążają zdradę (śmierć), występki przeciw gminie (zburzenie domu i wygnanie) i cudzołóstwo (kamienowanie); za inne występki skazywano na grzywny. Ani bicia, ani więzień nie było. Kary pieniężne zostawił rząd francuski; są one zwykle niewielkie, gdyż nie sięgają wyżej dwóch ranków.

Osobliwością obrad *dżemaa* jest to, że podnoszą się tu nietylko jawnie niezgodne z *Kanunem* uczynki obywateli, ale i wszelkie postępowanie niemoralne lub sprzeczne z obyczajami; jeśli ktoś okaże niegościnną, płaszczy się przed władzą lub obrazi drugiego, winien wytłomaczyć się z tego wobec gminy, a jeśli nie zdoła się obronić, zostanie skazany na karę pieniężną. W tenże sposób regulowane bywają i sprawy majątkowe: gdy jeden z członków gminy dochodzi do zbyt wielkiego bogactwa, radzą mu, ażeby z kapitałów swych nie ciągnął lichwy, ale lokował je na francuskiej renecie i pozwalał innym dorabiać się majątku. Ciekawą instytucją jest *anaya*. Kabyłe byli zawsze wielkimi ochotnikami do wojny i nieraz taddert występował przeciw innemu wprost dlatego, aby się proch nie zależał; również rozpowszechnioną była (a po części i dziś jest) *rokba*, tj. zemsta krwi; otóż *anaya* łagodzi te surowe zwyczaje. Jest to mianowicie rodzaj listu ubezpieczającego, który może wydać każdy obywatel bądź kabyłowi, bądź cudzoziemcowi. *Anaya* nietylko zabezpiecza podróżującego przed wszelką napaścią i gwałtem, ale chroni nawet od zemsty krwawej. Instytucja ta oddawała szczególne usługi w czasie ciągłych wojen pomiędzy gromadami kabyłów; niekiedy taka *anaya* „rzucana“ wśród bitwy przez marabuta (rodzaj duchownych bardzo poważnych), przerywała natychmiast walkę. Kabyłe są nadszwyczącymi mężni, otwarci i słowni, niezmiernie pracowici i skromni w wymaganiach swoich: wytrwałość, z jaką na nagich skałach stwarzają grunt rolny, sprowadzając niekiedy z daleka ziemię, jest iście zadziwiająca. Są przytem doskonałymi rzemieślnikami, z łatwością przejmują wszystko, co widzą gdzieś praktycznego. Rozdrobnienie własności jest tu tak wielkie, że niekiedy drzewa owocowe lub oliwne mają po kilku właścicieli, z których każdy pielęgnuje i podpira jeden konar otrzymany w spadku. Część więc kabyłów emigruje z gór i bądź czasowo osiada w miastach, aby dorobiwszy się grosza, wrócić i kupić ziemię, do której są niezmiernie przywiązani, bądź zaciąga się do pułków tyralierów francuskich.

Odwrotną stroną medalu jest brud niezmierny.

Do tych szczegółów, które oczywiście nie są wynikiem osobistych studyów p. Rostafińskiego, lecz wyjęte z dzieł gruntownych badaczów Kabylii, jakimi byli Hanoteau i Letourneaux, dodamy kilka od tych autorów pośrednio zapożyczonych, a przez p. Rostafińskiego pominiętych. Otóż, oprócz wymienionych cech, charakterystyczną jest solidarność kabyłów, wiążące ich poczucie wspólności; każdy z nich, budując dom, ma prawo do pomocy całej wsi; roboty w polu wykonywają się również połączonymi siłami. Każdy w razie potrzeby zwołuje wieś i bywa przywołanym *).

O ile w rysach charakteru dostrzegł p. Rostafiński podobieństwo górali Algieru do tatrzańskich, o tyle instytucje kabyłów przypominają instytucje demokratyczne innych górali — szwajcarów **). Spotykamy w Afryce, jak w Alpach urzędzenia najbardziej postępowe, dające jednostce względnie największą wolność i niezależność osobową obok najściślej solidarności społecznej; niektóre zaś rysy własności u kabyłów przypominają szwajcarskie *allmendy*.

Niemalą pouczaających szczegółów znajduje czytelnik w innych rozdziałach *Szkiców*: o tuaregach, maurach itd. Wogóle dzieło p. Rostafińskiego nie jest ani oryginalnem, ani ściśle naukowem, ale podając fakty wyjęte z mniej przystępnych dla naszych czytelników źródeł i przedstawiając je barwnie — stanowi książkę przyjemną i pożyteczną.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Fabryki kłamstwa. — Warszawa nie bawiła się. — Kto zabronił. — Tylko 50,000. — Niewdzięczni. — Algiebra dobroczynna i dawne jej równania. — Pragnienie nowych pomysłów. — Świat drugi a rzeczywistość. — My w oprzędzie niel angielskich. — Złoty noworoczny. — Dwa najprzykrejsze do pisania i czytania artykuły. — Tegoroczne hasło walki dziennikarsko-wyborczej.

Istnieje w Warszawie ogólne przekonanie, że reporterya miejscowa założyła sobie jedną, czy parę bardzo korzystnych fabryk kłamstwa, w których wyrabiane są wszelkiego gatunku nowiny nadzwyczajne: rozwiedzeni małżonkowie, spotykający się przypadkiem u stóp papieża, który ich błogosławi i ponownie łączy; szczygły umiejące tabliczkę mnożenia; wełniane suknie na balach; jasnowidzenia, gwałtowne śnieżyce, jednoczesne zgony kilku po świecie rozproszonych krewnych, sześcioraczki szczęśliwie urodzone itp. Dzięki tym pomysłowym improwizacyom, które wprowadzie — według przysłowia — mają krótkie nogi, ale za to chodzą ciągle, nigdy dokładnie nie wiemy, jak Warszawa wygląda, co myśli i czuje. Wtedy, kiedy cię upewniają, że ona o niczem nie mówi, tylko o Sienkiewiczach lub „Przeglądzie pracowni malarzkich,” ona tymczasem zajęta antisemityzmem lub influencją. Ponieważ zaś prowadzę życie borsucze i całą moją wiedzę o tem, co się dzieje „w łonie syreniego grodu,” nabynam od „dobrze poinformowanych,” którzy kłamią jak najęci, przeto nie umiem

was, czytelnicy, objaśnić, czy Warszawa istotnie podczas świąt mało się bawiła, czy też reporterzy o jej zabawach z jakiegoś powodu milczeli. Zaznaczyć winienem, że ta druga możliwość wydaje mi się całkiem nieprawdopodobną. Tajenie bowiem przed uwagą publiczną ludzi zasłużonych, wydawców pożytecznych, utworów wartościowych, poświęceń szlachetnych jest w prasie naszej objawem dość zwykłym, nieraz nawet związanym ze stałą zasadą; ale tendencyjnego milczenia o balach nigdy w niej dotąd nie spostrzegłem. Przeciwnie, raczej zmyśla ona niebyswale, aniżeli ukrywa dopełnione. Warszawa tedy podczas świąt musiała istotnie zachowywać się wstrzemięźliwie. Czemu? Czytałem gdzieś w książce niemieckiej: jeśli chcesz dowiedzieć się, ile wart jeden talar, spróbuj go pożyczyc. Według świadectwa pism humorystycznych (bo niehumorystyczne tej drażliwej sprawy nie dotyczą), wesołość kraju naszego podtrzymują głównie lichwiarze. *Kurier świąteczny* i *Mucha* zapewniają uroczyście w każdym numerze, że zwykle pozwolenie na wieczory tańcujące wydają Icek, Lejbś lub Moszek. Nie nie pomoże obojętność nadoznych tancerek i dzielnych tancerzów; nie poradzą imieniny ojca, mamy, ani potrzeba wprowadzenia w świat córki; dopiero gdy jeden z owych patronów karnawału da swoje błogosławieństwo, natychmiast rozpoczynają się pąsy. Otóż zdaje mi się, że moi szanowni ziomkowie, którzy na szczęście tych słów czytać nie będą, wskazana powyżej próbą zbadali, że rubel znacznie podrożał i to podrożał w rękę owych senatorów naszej Rzeczypospolitej pieniężnej, którzy w faldach swej czarnej togi kryją... radość lub smutek. Dawniej ludzie ze zgrozą opowiadali sobie, że ktoś za wynajem stu rubli rocznie brał 20; dziś podobno 100, 200 a nawet 300 rs. za tę przyjemność nie jest jeszcze lichwą. Gdy wzrosły ceny kawioru, wina, serów, owoców — można było (ciągle za pozwoleniem Icka lub Jankla) wyprawiać ucztę; ale gdy podskoczył w cenie produkt tak niezbędny do najskromniejszego balu, jak rubel, hulać trudno. *Kurier warszawski*, w braku pomyslnych nowin z prologu karnawałowego, zagłębił myśl w pytanie teoretyczne: „jak się bawimy“ i z obliczenia przybliżonego wypadło mu, że „w ogólnym ruchu zabaw i rozrywek miesięcznie bierze udział około, a nawet przeszło 50,000 warszawiaków.“ Może taki był stosunek w miesiącu ostatnim, może taki będzie w następnych, ale przeczę stanowczo w imieniu „wesołego miasta,” ażeby on był wyrazem nastroju lat poprzednich. Według mojego bowiem przypuszczenia, zwłaszcza w pewnych porach, bawi się w Warszawie połowa ludności — tj. około 200,000 osób. Dzieci, młodzież, kobiety, mężczyźni dojrzały, matrony, starcy, kaleki, ubodzy, zamożni, bogaci, albo myślą o zabawie, albo uczestniczą w niej, albo skarżą się na jej brak. Czem dla innych społeczeństw jest powietrze, ciepło, światło, chleb, tem dla nas jest zabawa; my bez niej wprost nie rozumiemy życia, my jej nie rzekamy się ani w założbie, ani na ementarzu, ani w nędzy, ani na zgłiszczach. Jedna tylko powstrzymuje nas przeszkoda: za drogi rubel. To też sądzę, że podczas gdy jedni mianują antysemityzm hańbą, drudzy atawistycznym odrodzeniem się barbarzyństwa, inni rozkielzaniem dzikich instynktów, my powinniśmy go przedewszystkiem nazwać niewdzięcznością. Bo jeżeli — według naszego katechizmu — szczęście człowieka zależy na tem, ażeby się bawił, to szczególną wdzięczność czuć powinniśmy dla tych, którzy nam owo szczęście za niewinne kwitki umożliwiają. Hartmaniki, usiłujący żydów „ausrotten,” napomykają, że gotowi nam ich w tej roli zastąpić; w takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak zgodzić się na ich filozofię i dalej do... pieczyń!

Pomysłowość miłosierdzia była w tym roku bezpłodną: oprócz dawnego potomstwa — gwiazdek i bazarów — nie zdobyła się na żadną nową pociechę. Nie przypomniałbym tej bezpłodności, gdyby ludzie szczerze litościwi, którzy chcą pomóc ubóstwu, nie skarżyli się, że dotychczasowe postacie zabawy kwestarskiej już ich nudzą. Daremnie tym grymasnikom tłomaczyć:

— Kwestowanie jest algiebrą dobroczynną, rozwiązującą zadania przy pomocy znaków, zastępujących ilości i przedmioty prawdziwe. Jak w algiebrze matematycznej, zamiast wołów, owiec, koni, których przecie pod ręką mieć i do pokoju wpędzić nie można, piszemy X, Y, Z, podobnie w dobroczynnej, zamiast paralityków, szwaczek i starych bab, wprowadzamy na salę panie i panów A, B, C, układamy z nich równania i rozwiązujemy je. Postacie i odmiany tych zrównań w algiebrze matematycznej są ograniczone — trudno więc ażeby dobroczynna posiadała nieskończoną ich rozmaitość.

Nie przeczę, że dalej jeszcze w pomysłowości posunąć się można, ale na nieszczęście genialny reformator algiebry dobroczynnej, hr. Krasieński (czy tylko się nie mylę w nazwisku?) jest chory lub zagniewany, a genialny jej twórca, p. Dobiecki, spoczął na dobrze zasłużonych wawrzynach. Ale bądźmy cierpliwi, niedługo, może już w roku przyszłym, z siedemdziesięciu papierowych piersi naszej prasy wydrze się okrzyk: mamy nową zabawę dobroczynną! Bo przecie chyba do tego nie dojdzie, ażebyśmy znudzeni jednostajnością, zapragnęli oglądania publicznie nędzy *in natura*; strojne, mile, czasem ładne, a zawsze uśmiechnięte jej surogaty będą zawsze przyjemniejsze... Czyżbyś poszła piękna czytelniczko (jak ja już umiem pisać stylem *Kurjerowym*!) do sklepu po pachnidła lub ty czcigodny czytelniku — po papierosy, gdybyś wiedzieli, że wam je sprzedawać będą wychowanka z Przytuliska lub nieuleczalny paralityk a nie ich surogaty — nadobna pani... owa lub elegancki pan... izz?

Przy świetle artykułu o kartelach, zamieszczanego w dzisiejszym numerze *Prawdy*, łatwo zrozumiecie podaną przez dzienniki wiadomość o kartelu nicianym, spisany częściowo na naszej skórze. Umowa ta z natury swojej pozostaje zamaskowaną, na ile wszakże uchylila swą zasłonę, przedstawia się tak: dwu, czy trzech angielskich fabrykantów nieci, władających na rynkach Cesarstwa i Królestwa, ażeby współzawodnictwem nie paraliżować sobie wzajemnie interesów i łącznymi siłami osłabić konkurencję miejscową, zawarło układ, na mocy którego podzielili się całym obszarem targowym: jeden otrzymał monopol (zaścisłość rozgraniczenia nie ręczę) Rosyę północną, drugi — południową, inny — Królestwo itd. Jest to zwykła operacja wielkiego przemysłu, wobec której wszelka deklamacja z nagana byłaby tylko bezsilnym gniewem. Nie myślę więc tego gniewu w nikim budzić, ale podsuwam uwadze czytelnika jeden z wielu faktów, wprowadzających myśl naszą w świat jak gdyby fantastyczny a jednak prawdziwy, niby oderwany od ziemi a jednak rzeczywisty — w świat odmiennego układu stosunków ludzkich, który ma swoje własne podziały i ugrupowania. Geograficznie, etnograficznie, politycznie widzimy: Niemcy, Austryę, Francję, rumunów, serbów, polaków itd., ale po nad tymi obrazami kapitał ma inną geografję, etnografję i politykę, według których istnieją państwa i dzielnice: telegrafu, telefonu, nici, koniak, srebra, igiel, zegarków itd. Dwa te światy niewspółmierne i niewspółrzedne ciągle ścierają się z sobą, z tego ścierania się powstają dziś rozmaite walki i wstrząśnienia, a kiedyś powstanie ciało przyszłości, o której my dziś nie mamy należytego wyobrażenia. Zaledwie spostrzegamy, że nagle znaleźliśmy się w oprzędzie

*) Laveleye, *Własność pierwotna*, s. 217. Obacz również streszczenie tych prac przez Renana w *Revue des deux Mondes*, 1873.

**) Nietylko że obowiązki amina kabyłów są zupełnie podobne do obowiązków amana w gminie szwajcarskiej, lecz i brzmienie wyrazów jest bardzo bliskie.

niel angielskich lub w kokonie jedwabiu francuskiego, wtedy, kiedy sądziliśmy, że po nad nami przelatują tylko włókna babiego lata.

Kto podczas świąt nie bawił się, a takich, niestety, było wielu; kto nie myślał o niczym i drugim świecie, a takich zapewne było mało, ten w braku czegoś lepszego czytał prospekty i zapowiedzi wydawnicze, którymi rok obecny sygnął nader obficie. Ten grad jest u nas zawsze znakiem biedy — malejącego czytelnictwa, a zwykle to pismo najgłośniej krzyczy, które najbardziej cierpi. Wypadłoby więc, że obecnie największych boleści doznaje *Kraj*. Ile jest drzwi, okien, kominów i szpar w naszej prasie, tyloma woiskał się do „szanownych abonentów” ze swym kramem, okazując im głośne nazwiska, barwne i błyskotliwe tkaniny, tanie detki, uzdrawiające leki, zapewniając, że w potrzebie usłuży wszelką sztuką wędrownych „węgrów.” Tylko o trutce na żydów, a raczej o środku znieczulającym przeciw ich skargom nie wspominał; ale, jak wiadomo, ten specyfik apteczki domowej w porach odnawiania przedpłaty bywa starannie ukrywany. Zresztą ta ostrożność nie jest wyłącznym obyczajem *Kraju*; przestrzegają jej również inne pisma, które mając się przez 11 miesięcy antysemityzmem, około nowego roku myją sobie ręce i podają niemi wonne cukierki „wszystkim warstwom społecznym,” wyrażając szacunek dla „wszystkich wyznań.” I rzecz dziwna, nieprawdopodobna a prawdziwa, że te „wszystkie warstwy i wyznania” przyjmują owe słodczyce i zamawiają je sobie nadal po to, ażeby się przekonać, jak szybko zgorzkniały. Nie przeczę, że prospekt lub ogłoszenie jest niezbędnym gońcem dla każdego wydawnictwa. Pomijając interes, wymaga tego cel najidealniejszy. Kto pragnie szerzyć pewne zasady, zyskiwać wyznawców dla pewnych idei i godeł, ten przecież musi rozpowszechniać je w społeczeństwie godziwymi drogami. Nawet surowy ewangelista, apostoł religijny daje znać o sobie i pragnie jak najrozleglej rozpowszechniać swą naukę. Noworoczne jednak zaloty o prenumeratę tak daleko odprowadziły współzawodników od granic taktu i przyzwoitości, że dwa papiery wydają mi się najwstrętniejsze do pisania i czytania: odezwa wyborcza kandydata poselskiego i prospekt wydawcy. Gdyby Apollo istniał i próśb ludzkich słuchał, przyjmując od niego pasowanie na literata, błagałbym, ażeby mnie zwolnił od tych dwu odras. Ile razy — powiedziałbym — do bry Boże, zechcesz mnie skazać na te kary, już wolę, ażebyś mi polecił napisać kilka książeczek legitymacyjnych, rachunków kucharki lub wreszcie recenzji teatralnych.

Hasłem wyborczem — jak się mówi za granicą — w tegorocznej agitacji wydawniczej była taniósć (naturalnie z elegancją). W prospektach naliczyłem około pięciu „najtańszych pism polskich.” Jakim sposobem może istnieć równocześnie kilka wielkości najmniejszych, tego żadna matematyka nie objaśni, ale prospektyka taką możliwość doskonale rozumie. Czy to jej działanie okazało się skutecznem — orzec trudno. Biegli twierdzą, że w roku obecnym wyborca - prenumerator był dziwnie głuchym na piękne hasła i niewrażliwym na czule umizgi, co byłoby objawem smutnym. Bo pomimo blagi, kłamstw i wszelkich cakanek, życze prasie naszej rozwoju i powodzenia, z wyjątkiem naturalnie tych jej organów, które żyją paszkwilem, niecnotą, świadomem fałszowaniem opinii, laskotaniem złych instynktów, podszywaniem dobra narodu swoją samolubną rachubą — te niech przepadną. Życze szczerze, bo chociaż nikt mnie nie przewyższa w miłości dla literatury swojskiej, nie jestem chińczykiem, który w każdym zadrukowanym kawałku papieru widzi świętość. Niejeden zaś kawałek takiego papieru jest stokroć gorszym,

niż szarańcza lub fliksera, a od niszczącej szkodliwości tych robaków smutniejszym jest tylko fakt istnienia kół społecznych, które je żywią i mnożą.

Posel Prawdy.

O PRAWDĘ.

I.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zwracając się do Szanownego Pana z kilku słowami (o których wydrukowanie proszę) z powodu recenzji pana Bema na moją *Historję Polski* (*Prawda* nr. 51), bynajmniej nie mam zamiaru wywoływać polemiki z moim szanownym krytykiem. W recenzji jego są zarzuty, które z uznaniem przyjmuję, są i takie, z których z łatwością mógłbym się usprawiedliwić lub całkiem je obalić; lecz o to całkiem mi nie chodzi, i tylko pragnę zwrócić uwagę na dwa zarzuty, które stanowczo nie są słuszne.

Naprawdę nigdzie nie dałem powodu do napisania, jakobym pierwszy podział Polski nazywał *poniekąd*, jak się p. Bem wyraża, sprostowaniem granicy, to bowiem, co napisałem na str. 193 swojej *Historji Polski*, tego nie usprawiedliwia. Byłoby przecie z mej strony niedorzecznością nazywać sprostowaniem granicy odepchnięcie nas przez Austryę od Karpat a przez Prusy od Baltyku. O sprostowaniu granicy wyraziłem się z innej, trzeciej strony i tylko o tyle zasługiwać mogę na krytykę.

Powtóre nigdzie nie uczyłem, że po *c* i *dz* należy bezwzględnie pisać *z*, bo coś podobnego byłoby także z mojej strony niedorzecznością. Jeżeli bowiem wyraży, jak *młodzi*, *budzić*, *braci*, napisać musimy przez *i*, to znowu wyrazów *nadzie*, *miedzy*, *polacy*, *cyfry* nikt nie napisze przez *z*. Autor recenzji, jako przykłady mojej pisowni, przywodzi wyrazy *polaci*, *cifra*; lecz pytam się, gdzie szanowny mój krytyk w książce mojej znalazł te wyrazy lub im podobne pisane przez *z*?

Edward Bogusławski.

II.

Dlaczego p. Bogusławski, „mogąc z łatwością” (jak się wyraża) odeprzeć inne, poważniejsze zarzuty, poprzestał na zaakcentowaniu dwu podrzędnych punktów, z których jeden do geografii politycznej (w ścisłym tego słowa znaczeniu), drugi do pisowni należy, — zagadka to dla mnie trudna do rozwiązania. Gdy wszakże taka jego wola, w imię prawdy podnieśmy rzuconą rękawicę. Autor „dał powód do napisania,” że pierwszy podział Polski uważa *poniekąd* (t. j. w pewnej mierze) za „sprostowanie granicy.” Jestto ogólna wzmianka, zarówno z tekstem książki (str. 193, 225), jak i powyższem objaśnieniem zgodna. Wiadomo, że nasz dziejopis wielką przywiązuje wagę do pewnych pytań, leżących po za sferą historii. Nie będąc politykiem z powołania, dobija się gwałtem tego tytułu. Chodzi mu też bardzo o szczegółowy rozbiór ukochanego paradoksu, który zasługuje na to chyba jedynie, żeby go przy drugim wydaniu za progi podręcznika cichaczem wymieść. Dla Rzeczypospolitej, podobnie jak dla każdego organizmu politycznego, ważną była kwestya zdobycia granic naturalnych, w rodzaju Baltyku lub gór Karpackich; ale czyż Dźwina Zachodnia i Dniepr, a tembardziej Druć lub Irpień — mogły być uważane za dostateczną od strony potężnego sąsiada zapórę? Nasz autor (na str. 225 i 226), polemizując z K. Waliszewskim, stara się dowieść, że nie granice wpłynęły na zgubę Rzeczypospolitej, lecz nierząd. Argumentacja ta jest w gruncie logiczna, chociaż (jak zwykle u p. B.) nazbyt żarliwa i cechą bezwzględności napiętnowana. Co innego Baltyk, a co innego... Irpień. Trzeźwe zastanowienie się nad historją polską przekona każdego, że brak tamy naturalnej od zachodu i wschodu silnie zawżył na losów naszych szali. Cokolwiek bądź jednak o tem powiedzieć można, ma rację au-

tor, utrzymując, że bezpośrednią przyczyną upadku był rozstrój państwowy Rzeczypospolitej. „Nie granice więc nas zgubiły, tylko nierząd” — powiada w konkluzji p. Bogusławski. Uczyniwszy niezbędne zastrzeżenie, tezie powyższej szczerze przyklaskujemy. Ale wobec tego, co się stanie z owem pożądanem jakoby bardzo dla Rzeczypospolitej „sprostowaniem granicy” w przedzgonnej dobie, — za które warto było zapłacić obszarami, znacznie większymi, niż Belgia i Szwajcarya, razem wzięte? Jaki pożytek osiągnąć mogło państwo, cieszące się już tylko cieniem samoistności politycznej, — z tego, że u wschodnich jego kresów Dźwina, Dniepr Druć i Irpień płynęły? Granice te zresztą nie odpowiadały warunkom etnograficznym: przed linią i po za linią żyła ludność mniej więcej jednorodna, — a sąsiad potężny wcześniej lub później musiał sięgnąć po resztę ziem ruskich. Czyż potrzebujemy jeszcze dowodzić, że paradoks, broniony przez autora, najpobłażliwszej nie wytrzymuje krytyki? Kto uważnie odczyta książkę, ten przekona się, że historyk, rozprawiając już o granicach, już o warunkach etnograficznych, których państwo w swym rozwoju przestrzegać powinno, sam na swe niemowlę wypieszczone wyrok śmierci podpisał.

A teraz zastanówmy się nad drugim punktem repliki. W sprawozdaniu swem nadmieniał, że autor pisze: *polaci*, *żidzi*, *cifra*, *czitać* itd. Twierdzenie to zmuszony jestem wcześci odwołać. Nasz ortograf nie odznacza się bynajmniej taką, jaką mu przyznawałem, konsekwencją: litera *z* następuje u niego wbrew zwyczajowi ogólnemu tylko po przyciskowych (np. *żidzi*, *czitać*, *pożitek*, *pisarzi*, *szidzić*); „nie uczy” on „nigdzie, że po *c*, *dz* należy pisać *z*.” Ale czy rzeczywiście „z jego strony coś podobnego byłoby niedorzecznością”? Owszem, byłby to dowód podstawowej znajomości przedmiotu. Powiada on, że takich wyrazów, jak: *polacy*, *cyfra* — „nikt nie napisze przez *z*.” Za przyszłość bezwątpienia ręczyć nie można; ale wiadomo napewno, że kś. Fr. ks. Malinowski był gorącym tej ortografii zwolennikiem. Autor zresztą powinien wiedzieć (informację dostarczy *Gramatyka* Małeckiego „większa,” tom I), że końcówka *z* tkwi nietylko w takich imionach, jak: *doktorzy*, *badaczy*, *wierszy*, *śprzedaczy*, *tarczy*, *dobrzy*, — ale i w takich, jak: *niemcy*, *polacy*, *pieniędzy*, *miesiący*, *nocy*, *bliscy*, *drodzy*. Tu i tam *y* jest znakiem zastępczym. Może tylko zachodzić kwestya, co konsekwentny krzewiciel grafiki „racjonalnej” począć ma z pisownią wyrazów: *braci*, *ludzi*, *młodzi* itp.? Niema innej rady: litery *é*, *dz* trzeba w tym razie kreskować (*braci*, *ludzi*). Mniemamy jednak, że daleko roztropniej uczyni propagator „postępowej” ze stanowiska głosowniowego, a pod względem praktycznym — wstecznej grafiki, jeżeli dla uniknięcia błędu zasadniczego zrzecze się rażącej ogół, bo niezgodnej z wymawianiem, litery *i* po spółgłoskach przyciskowych.

Śmielsze jeszcze rady cisną się pod pióro; ale po co je wygłaszać, gdy autor, dotknięty srodze *dyplomato-grafko-manią*, a odurzony kadzidłami, jest obecnie w fazie zachwytu.

Antoni Gustaw Bem.

I.

Szanowny Panie Redaktorze!

W czterech kolejno ostatnich numerach *Prawdy* czytam wzmianki o moim przekładzie „Nowej wiosny” Heinego w zestawieniu z przekładami p. Al. Kraushara, zamieszczonymi w „Wyborze pism.”

Niezasłużony zaszczyt, który mię spotyka, przepisać, niestety, muszę — nieporozumieniu.

1) W nr. 49-ym posądzono mię zupełnie bezpodstawnie — o zawiść zawodową. Zdaje mi się, że jeżeli nazywam przekłady Konopnickiej wręcz „świetnymi,” oraz wysoko podnoszę talent poetycki i zdolność zrozumienia istoty poezyi Heinowskiej Aurelejo Urbańskiego, Wł. Zagórskiego, M. Gawalewicza, Wł. Stebelskiego (w *Tygodniku ilustrowanym*), to szczerze pochwalwszy pięciu poetów, mam chyba prawo z czystym sumieniem zganić szóstego.

2) W nr. 50-ym czytam: „Nie traktuje przez ramię innych ten, kto się nie czuje od nich wyższym.“ Najpierw nie traktowałem p. Al. Kraushara „przez ramię“, ale jego przekładom poświęciłem w dwóch numerach *Tygodnika ilustrowanego* obszerny i sumienny rozbiór. Potwórze pytam: czy np. Chmielowski, krytykujący Kraszewskiego, czuje się wyższym od niego? Czy np. Cherbuliez, czyniąc zarzuty Meissonierowi, wyższym od niego się czuje? Wreszcie zgadzam się najzupełniej z p. Posłem Prawdy, że moje przekłady są gorsze, niż przekłady Al. Kraushara — i cieszyłbym się niezmiernie, gdyby przez ten przekład Al. Kraushara choć ćwierć zalety przybyło.

§3) *Nigdy nigdzie* (ani w *Kraju*, ani w *Tygod. ilustr.*) nie stawiałem nikomu mojego przekładu „*Nowej wiosny*“ za wzór do naśladowania.

Proszę Pana w imię bezstronności sądu tak wysoko zawsze przez *Prawdę* cenionej, o zamieszczenie tych kilku słów, bez żadnych zmian, w swem piśmie.

Czesław Jankowski.

II.

Może to nieporozumienie usuniemy:

1) Zdaje nam się, że samo pochwalenie pięciu poetów nie daje jeszcze „prawa“ do nagany dla szóstego.

2) Ani p. Chmielowski nie pisze powieści, ani Cherbuliez nie maluje obrazów, więc niestosownie dobrany ten przykład musimy wyłączyć ze sporu. Natomiast może lepiej usłużyć nam w tej sprawie inny: jeżeli dwu krawców uszyje kamizelkę, a jeden z nich tak dalece zgani robotę towarzysza, że uzna ją za niegodną noszenia, czyż to nie znaczy, że go traktuje „przez ramię“? P. Jankowski ogłosił aż w dwu pismach przekłady Kraushara za tak złe, że radził „ręcz rozpocząć na nowo“; teraz powiada skromnie, że jego przekłady są gorsze; więc cóż należy począć z jego „rzeczą“ i dlaczego ją sprzedał nakładcy?

3) P. Jankowski zganił przekład cudzy, a wydał swój, więc nietylko wykazał, jak Heinego tłumaczyć nie należy, ale zarazem dał „wzór“ — przynajmniej Krausharowi — jak tłumaczyć należy? Dla nas jest to jasne.

P. P.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Towarzystwo ogrodnicze na ostatniem swoim zebraniu wysłuchało sprawozdania gospodarczego, przyznało nagrody dwu wysłużonym ogrodnikom i odrzuciło wniosek urządzenia wystawy w roku bieżącym, upoważniwszy jednocześnie zarząd do wyjednania na ten cel zasiłku rządowego.

Towarzystwo sztuk pięknych dopełniło dorocznego rozlosowania obrazów i rzeźb między swych członków.

Na komorach celnych w ciągu trzech miesięcy — według rozporządzenia ministra — rubel srebrny będzie wart 70 kop., a papierowy 65 k. w złocie.

Nowi biskupi. Papież mianował: Zerra biskupem tyraspolskim, Audziewiczza — wileńskim, Jaczewskiego — lubelskim, Nowodworskiego — płockim.

Towarzystwo udziałowe posiadaczy ziemskich. Ospała szlachta w gub. wołyńskiej zaczyna się ruszać i to w sposób dotąd niebywały. Pod przewodnictwem marszałka gubernialnego grupa posiadaczy ziemskich zawiązuje tam towarzystwo akcyjne w celu stworzenia i rozwoju przemysłu górniczego na Polesiu wołyńskiem. Ostatnie poszukiwania wykazały, iż cała gubernia posiada bogate pokłady węgla kamiennego, bursztynu, granitu i wiele innych bogactw, które przy umiejętnej eksploatacji mogą do niepoznania zmienić warunki ekonomiczne ludności tamtejszej. Powstaje Towarzystwo zamierza urządzić na wielką skalę fabryki surowca i żelaza. W związku z tem projektowaną jest kolej żelazna z Wielunia, stacyi drogi Wileńskiej, do Pieczanówki, stacyi dróg Południowo-Zachodnich; albo przez Żytomierz do Berdyczowa. W miarę rozwoju przemysłu będą budowane jeszcze inne linie dojazdowe. Wszy-

stko to wpłynie na ogromne ożywienie szerokich obszarów gub. wołyńskiej, mśńskiej i grodzieńskiej. Ustawy Towarzystwa oraz plan kolei Wieluńskiej posłano już władzy wyższej do zatwierdzenia.

Własność ziemska w gub. wołyńskiej. Obok faktu powyższego dziwnie wygląda następujący: Kijowski Bank ziemski wystawił w grudniu na sprzedaż publiczną za raty zaległe pożyczek długoterminowych 67 majątków ziemskich w gub. wołyńskiej (ogółem 90,613 dzies. gruntu), pod których zastaw wydano 1,597,400 rs. Obowiązkowe raty półroczne wynoszą 33,624 rs., ogółem zaś suma zaległości doszła do 69,018 rs. Pomiędzy innemi cztery dobra wystawiono na sprzedaż za raty od *dwudziestu ośmiu do stu* rubli, siedem za raty od 101 do 200 rs., pięć za 201 do 300 rs., czternaście za 301—500 i dwanaście za zaległości 501—1,000 rs. Czyżby niedza zadrżała tym obywatelom w oczy tak zuchwale?!

Biblioteka polska w Saratowie. Kółko polaków, mieszkających stale w Saratowie, postanowiło utworzyć bibliotekę i czytelnię polską i doczekało się pomyślnego rezultatu. Księgozbiór liczy już półtora tysiąca dzieł wyborowych, między którymi znajdują się w komplecie najcenniejsi pisarze nasi. Zajmujący się urządzeniem biblioteki, skutkiem braku środków na wynajęcie lokalu, zdecydowali się ofiarować uzbiernie książki miastu, dla pomieszczenia ich w bibliotece publicznej w osobnych szafach, z warunkiem, aby dochód z tego działu szedł na nabycie nowych dzieł i prenumeratę pism. Rada miejska dar z podziękowaniem przyjęła, lecz warunki podane „odrzucała. Ofertę cofnięto; jeden zaś z mieszkańców Saratowa ofiarował część swego mieszkania na umieszczenie księgozbioru i czytelnii bezpłatnej. Z początku chciało biblioteczkę umieścić przy katolickiej szkółce parafialnej, ale protest księży stanął na przeszkodzie.

Handel. W r. b. wydane będzie około miliona rubli tytułem premii za wywóz cukru na rynki azjatyckie.

— Ministerium skarbu, w celu poparcia fabrykacji wyrobów tytoniowych zamierza ogłaszać urzędowe buletyny o stanie plantacji, o widokach urodzaju tytoniu, o zbiorach, zapasach itd.

Wiadomości administracyjne. W sferach rządowych opracowują projekt nowego prawa o odpowiedzialności za nieregularne spłacanie podatków skarbowych.

— Senat rządzący wyjaśnił, że w miasteczkach w gub. zachodnich żydzi mogą brać warendę prawo propinacji tylko z zachowaniem warunku w art. 363, dozwalającym Izraelitom prowadzić handel spirytualiami w granicach ich osiedleń i tylko w domach własnych.

Nowe pismo. W Samarkandzie ma wkrótce wychodzić gazeta p. t. *Okraina*.

Zapis dr. Stanisławowa Majkowskiego tytułem wieczystego funduszu 3,000 rs. dla warszawskiego Towarzystwa dobroczynności przyjęty został z zachowaniem praw osób trzecich.

Sprawa o roztrwonienie funduszów w Charkowskim oddziale Banku szlacheckiego w sumie 60,000 rs. będzie roztrząsana w Izbie sądowej z udziałem przedstawicieli stanowych w d. 11 b. m.

Pocšta. Od 13 b. m. w Petersburgu, a następnie kolejno w Moskwie, Warszawie, Odesie, Kijowie, Rydze i innych miastach puszczane będą w obieg banderole z odbitymi stemplami opłaty pocztowej, oraz blankiety na listy zamknięte z takimże stemplem, zastępującym razem papier do pisania i koperte.

Szkoły. Egzaminy kandydatów i kandydatek nowo wstępujących do konserwatorium warszawskiego trwać będą od 2 do 10 b. m. włącznie. Lekcje zaczną się 15.

— Na nadchodzącym zjeździe przedstawicieli wykształcenia technicznego poruszona będzie pomiędzy innemi, sprawa zaopiekowania się osobami, kończącemi kurs w szkołach specjalnych. Są dwa projekty: jeden proponuje utworzenie szeregu drobnych instytucyj miejscowych, drugi głosi za jedną instytucyą centralną.

— Postanowiono w krótko pootwierać szkoły mleczarskie, w których wykładane będą: hodowla bydła, wyrób masła, sera, buchalterya, arytmetyka, hygiena zwierząt domowych, leczenie ich, przezimowanie bydła itd.

— Rozporządzenie, uwalniające studentów uniwersytetów zaliczonych do zapasów armii od powoływania na ćwiczenia podczas kształcenia się, rozciągnięto także na studentów instytutu nieżyńskie-

go, historyczno-filologicznego, instytutów weterynaryjnych, gospodarstwa wiejskiego w Nowej Aleksandryi (Puławach) i szkoły politechnicznej w Rydze.

Konkurs im. Antoniego Rubinstaina odbędzie się 27 sierpnia 1890 r. Nagrody dwie po 5,000 franków, jedna dla kompozytorów, druga dla pianisty. Obie mogą być przyznane jednej osobie. Zamiast jednej mogą być wydane dwie po 2,500 fr. Do konkursu dopuszczane są osoby płci męskiej od 20 do 26 lat wieku, wszystkich narodowości, religij, stanów i bez względu na to, gdzie się kształcili. Pragnący przyjąć udział w konkursie, powinni zawiadomić o tem piśmiennie kantor konserwatorium petersburskiego (ul. Teatralna numer 3) najpóźniej do 27 sierpnia n. st., dołączając dokumenty, stwierdzające ich osoby i wiek. Konkurs odbywa się w konserwatorium pod przewodnictwem dyrektora.

Zmarli Ordynat Tomasz hr. Zamojski.

— Dr. Stan. Smoleński, docent uniwersytetu w Krakowie, autor wielu rozpraw lekarskich, badacz zdolny i pisarz utalentowany. Przed rokiem w ciągu jednego tygodnia stracił żonę i córkę, odąd szybko zapadał na zdrowiu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Gustawowi F. Te „niebieskie regiony“ są dla nas całkiem niejasne.

Pani O. D. w T. Spółka Nakładowa ma tyle wydawnictw zamierzonych, że one na długo jej wystarczą. Rękopisy przysyłać można pod opaską rekomendowaną.

Panu R. N. w Radz. W przyszłym numerze pomieścimy.

Sawante. Pomysł dobry, pierwsza połowa wierszowana zreczeń, ale koniec nie dopisał.

Uwaga. Redakcyja rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

O g ł o s z e n i a.

Wydawnictwa „Prawdy.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tłum. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczy niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłum. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Spółeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dzieł socjologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny. Na kosztą przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. **Spółeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacji, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy. **Główne prądy literatury europejskiej XIX w.**, tom V. Szkoła romantyczna we Francji, z portretem autora, str. 402 — rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. **Autorki polskie wieku XIX**, studium literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Gumplowicz L. **System socjologii** — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Kramsztyk Stanisław. **O postaci i ciężarze ziemi**, str. 93 — k. 60.

Okolski A. **Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P.** — rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 30.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). **Szkice i obrazy**, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Smoleński Władysław. **Drobna szlachta w Królestwie Polskiem**, studium etnograficzno-społeczne, str. 66 — k. 60.

Biuro i ekspedycya Spółki Nakładowej: Warszawa, **Marszałkowska, nr. 95.**

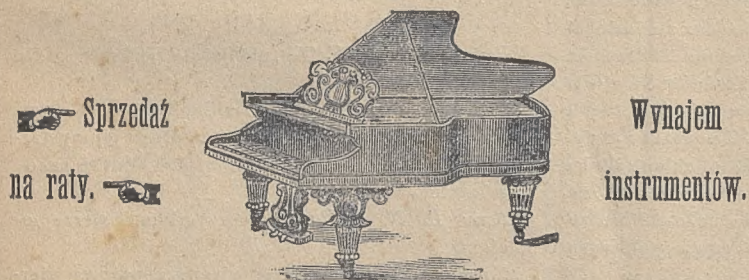
Na Karnawał! BIELIZNA Na Karnawał!

Nie mając sklepu od ulicy, lecz mieszcząc takowy razem z pracownią, jestem w możności robienia możliwych ustępstw w sprzedaży moich wyrobów. — Koszule męskie odznaczają się najlepszym krojem, jak również wszelka inna bielizna, wychodząca z mojej fabryki odpowiada najwybredniejszym wymaganiom, gdyż fabryka prowadzona pod zarządem właścicielki specjalistki, której zależy na stałej Klienteli i Jej rekomendacyi. Panom Handlującym odstępuję rabat.

Specyjalna Fabryka Bielizny TEOFILI FUKS

Senatorska Nr. 26, wprost Kościoła.

GEBETHNER i WOLFF NAJWIĘKSZY W KRAJU Skład Fortepianów i Pianin



Sprzedaż
na raty.

Wynajem
instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.



Naprzeciw hotelu Europejsk. — Czysta, 2.

Zegarmistrz F. Woroniecki

poleca tanio — w wielkim wyborze

Zegarki i Regulatory,

Dewizki złote, srebrne i kompozycyjne, Kontrolery stróżów nocnych, znaczny asortyment zegarków z Fabryki: PATEK, PHILIPPE i Sp. w Genewie.

Srebrne medale 1885 i 87.

Zakład istnieje od r. 1866.

Przegląd Pedagogiczny

zamieszcza praktyczne wskazówki o wychowaniu fizycznym i moralnym, sposoby bawienia i zajmowania dzieci, lekcje wzorowe z różnych działów nauki, wiadomości o nowych podręcznikach do nauki szkolnej i domowej etc.

Kosztuje kwartalnie w Warszawie rs. 1 kop. 50, na prowincyi rs. 1 k. 75. Przedpłatę przyjmuje księgarnia Gebethnera i Wolffa, tudzież inne księgarnie miejscowe i na prowincyi.

SPRAWA ZYGMUNTA UNRUGA

Epizod historyczny z czasów saskich 1715—1740,

przez

Alexandra Kraushara,
(autora Olbrachta Łaskiego i Czarów na dworze Batorego),

DWA TOMY.

Cena rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 40.

Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Podana przez SMOŁĘ przechwała, jak kilkakrotnie wykazałem, jest tylko BLAGA, oparta na własnej reklamie dla zło-wienia świeżego spółnika.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!
PEWNY ŚRODEK
„EXSICCATOR”
OSUSZA WILGOĆ,
ZABEZPIECZA DRZEWO OD GNICIA, GRZYB
KA i t.p. — BROSZUR
KA ILUSTROWANA —
BEZPŁATNIE.
POSZUKUJE
AGENTÓW.
Wyn. Inż. G. Ritter.
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Preparatu tego nie należy porównywać z reklamowanymi smołami, vel gudronitami.

Lornetki teatralne achromatyczne, Mikroskopy, Termometry, Binokle, Okulary, Lokomobilki, Lokomotywki parowe, Latarki czarnoksiężskie i t. p. poleca o 25% taniej optyk

JULIAN DREHER, Szpitalna 6.

Przyjmuje wszelkie reperacje.

Najnowsze Książki Czytelnia

K. PASZKOWSKIEJ

14, Chmielna, 14.

Nowo otworzony SPECYALNY MAGAZYN oraz Pracownia Ubiorów i BIELIZNY DZIECIĘCEJ **A. SIERZPUTOWSKIEJ**

WARSZAWA, ul. Czysta Nr. 8. Poleca JW. i WW. Rodzicom wielki wybór ubrań gotowych dla dzieci, oraz bieliznę, a także wyprawki dla niemowląt. Robota wykończona podług najświeższych modeli z możliwą akuracją po cenach umiarkowanych. Prócz tego przyjmuje roboty z materyałów powierzonych, które wykończyć będzie na czas umówiony.

F. Drechsler
Warszawa,
Leszno 14.



ROWERY od

rs. 125—250.

BICYKLE od

rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

„Na Raty”

Lustra

sprzedaje miejscowym i na prowincye

Fabryka zwierciadeł

MAURYCEGO Silberberga

8, Rymska, 8.

UWAGA. Uprasza się o łaskawe zwrócenie uwagi na dokładny adres z powodu istniejących firm podobnych i na umieszczony w wystawie napis „Na raty.”

Russkaja Myśl,

Miesięcznik polityczno-literacki.

Warunki prenumeraty na rok 1890: z przesyłką wewnątrz państwa: na rok 12 rs., na pół roku 6 rs., na 3 miesiące 3 rs., na miesiąc 1 rs.; za granicą rs. 14, 7, 3 k. 50.

Dla abonentów rocznych dopuszcza się rozplata przy zapisie, 1 kwietnia, 1 lipca i 8 października po 3 rs.

Księgarze otrzymują 50 kop. rabatu od każdego egzemplarza rocznego, bez kredytu i rozplata.

Miesięcznik wychodzi pod dotychczasową redakcją i w dotychczasowej objętości.

Prenumerata przyjmuje się: Moskwa, Leontiewskiej pier. 21. Wydawca i redaktor W. M. Ławrow.

Niecała Nr. 12,

JAN KAMIEŃSKI

Magazyn Obuwia Damskiego, Męskiego i Dziecinnego, Wybór znaczny gotowego, a także i na obstalunki.

Ze względu na ogólne „ciężkie czasy,” przez czas karnawału 10% taniej od cen zwykłych.

JAN KAMIEŃSKI

Niecała Nr. 12.

PRACOWNIA I MAGAZYN OBUWIA

Męskiego, Damskiego i Dziecinnego

E. ZAPOLSKIEGO

Marszałkowska 121 (róg Siennej).

WYROBY W NAJPRZEDNIEJSZYM GATUNKU.